

NR 43
lipiec-wrzesień
2003

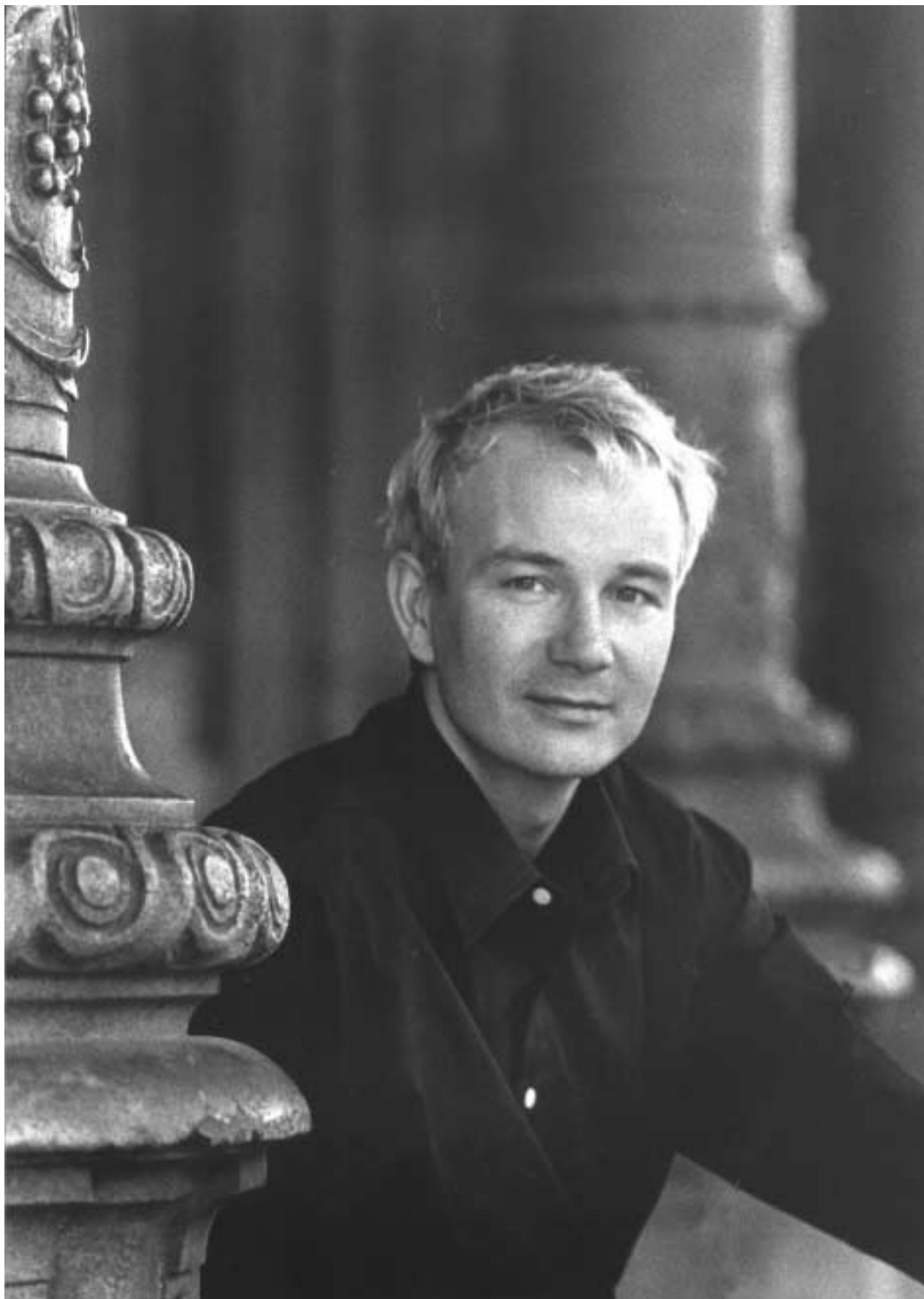
aleje 3

KWARTALNIK
KULTURALNY
CZĘSTOCHOWY
ISSN 1427-8812 cena 2 zł



W NUMERZE:

*Dędek w Bursztynowej Komnacie * Marjańska w nowojorskiej windzie * Pinderak w Wiener Staatsoper
* Szkop w drodze do Transylwanii, a Malczewski w Częstochowie*



fot. Janusz Mielczarek – Zbigniew Aleksander Pinderak na stopniach Wiener Staatsoper. (o artyście piszemy na str. 28)



SPIS TREŚCI

z miasta	3
o literaturze	7
Częstochowskie Dni Książki	10
proza	12
blog	14
młode pióra	15
poezja	17
notatki z czasu	20
teatr	21
film	27
muzyka	28
wywiad	31
podróże	34
obserwacje	37
ze sztuką na ty	38
plastyka	47

aleje 3

KWARTALNIK KULTURALNY CZĘSTOCHOWY
Pismo finansowane przez
Urząd Miasta Częstochowy
Numer zrealizowano przy pomocy środków
budżetowych Urzędu Marszałkowskiego
Województwa Śląskiego

WYDAWCA

Biblioteka Publiczna
im. dra Władysława Biegańskiego
w Częstochowie
Aleja Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
kontakt: BOGDAN HENNIG

REDAKCJA

Biblioteka Publiczna
Aleja Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
e-mail: bp-bp@wp.pl bpiwb@wp.pl
tel. 360-56-28

Zespół redakcyjny

KRYSTIAN PIWOWARSKI – redaktor naczelny
SŁAWOMIR BURSZEWSKI – literatura, komiks,
twórczość młodych
ARKADIUSZ ZAJĄC – szata graficzna, okładka,
plastyka, ilustracje

Redakcja tekstów: ANNA WOLAŃSKA

Redakcja techniczna, skład, łamanie, korekta, druk
DRUKARNIA CZĘSTOCHOWSKIE
ZAKŁADY GRAFICZNE SA

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów i opracowania
redakcyjnego materiałów przyjętych do druku.

INFORMATOR

- Wystawa poplenerowa XVI Pleneru Miejskiego
8 – 31.08
- XI Dni Częstochowy – 26 – 31.08
- IV Dni Europejskiej Kultury Ludowej – 6 – 7.09
- Światowy Kongres Częstochowian – 19 – 21.09
- XXIX Ogólnopolski Plener Malarski „Jurajska
Jesień” – wrzesień
- Festiwal Wioolinistyczny im. B. Hubermana
– 24.09 – 4.10

GAUDE MATER



Autorem tegorocznego plakatu
festiwalowego jest Jacek Łydźba

Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” jest chyba największą imprezą w naszym mieście, która na stałe wpisała się do kalendarza. Tegoroczny XIII (nie był pechowy) obył się bez zgrzytów finansowych i stał na przyzwoitym poziomie, zarówno od strony muzycznej jak i teatralno-plastycznej. Dobre wrażenie zrobił koncert inauguracyjny w 70. rocznicę urodzin Krzysztofa Pendereckiego. Odbył się w Bazylice Jasno-górskiej. „Pasja wg św. Łukasza” to dzieło niemal awangardowe. Została napisana w roku 1966 na zamówienie Westdeutscher Rundfunk w Kolonii dla uczczenia 700-lecia katedry w Munster. Jej wykonanie wymagało ogromnej obsady (133 osoby), w związku z czym zamieniono nawet miejsca publiczności i wykonawców (publiczność stała pod ołtarzem). Recytował Marek Ślosarski. W koncercie finałowym z Wielką Mszą h-moll J.S. Bacha wykorzystano orkiestrę z Dusseldorfu grającą na kopiach starych instrumentów, dzięki czemu można było usłyszeć wersję niemal oryginalną.

Koncert „Dzielmy się chlebem” odbył się w filharmonii i miał doskonałą obsadę (M. Szcześniak, J. Skolias, N. Niemen, bracia Pospie-

szalscy) – widowisko radosne, kolorowe, taneczne, melanz motywów etnicznych (grupa z Ukrainy „Akord”, kapela góralska S. K. Bułtecki), tradycyjnych (gregorianki Braci Dominikanów z Krakowa), rocka („New Life”) i gospel („Visual Ministry Choir” z Londynu) przeplatany przemówieniami Jana Pawła II o pokoju, miłości i współczuciu dla bliźniego. Koncert powstał na 25-lecie pontyfikatu Ojca Świętego i wcześniej był tylko dwa razy wykonywany: w Teatrze Wielkim i Narodowym w Warszawie.

Scena Plastyczna KUL-u spektaklem Leszka Mądzika „Bruzda” wielu widzów pamiętających tajemnicze misteria rozczarowała. Mądzik zmieniając światło nocne na dzienne, zmienił też stylistykę swego przedstawienia. Zamiast teatru jest performance, happening, przewidywalny i ascetyczny w formie. Autor zostawił niedosyt, choć jego poszukiwania są pewną konsekwencją obserwacji, podróży po Polsce, próbą zrozumienia rodzimego pejzażu i wpisanego w niego aktu pracy, powtarzalnego cyklu narodzin, wzrostu, obumierania. „Bruzda” to biologiczna wizja życia z symbolem gleby, ziarna, wiary, sensu trwania. Optymistycznym finałem jest posiłek przy wspólnym stole, zasłużony odpoczynek, nagroda kojarząca się nieco z wiecznikiem (spektakl odbył się w kościele ewangelicko-augsburskim). Wszystko to piękne, ale jednak szkoda, że Mądzik przeszedł z ciemnej strony na jasną.

Ciemny natomiast był widowiskowy spektakl uliczny (premierowy) „Gotham” Teatru „Cogitatur” z Katowic, Polskiego Teatru Tańca i Baletu Poznańskiego, który porą wie-



czorową oglądaliśmy na placu Biegańskiego. Długo zastanawiałem się, co batmanowskie „Gotham” ma wspólnego z sacrum i doszedłem do wniosku, że był to element profanum w programie festiwalu. Kontrast wypadł korzystnie. Po wszystkich uniesieniach dla melomanów obraz miejskiego piekła, zwierzęcej walki między ludźmi, gonitwy, chaosu był sprowadzeniem na ziemię. Efektowna kilkumetrowa konstrukcja, na której aktorzy grali różne sceny jednocześnie, ogień symbolizujący zagładę świata, szokowały widzów. W zamyśle spektakl był alegorią wydarzeń z 11 września w Nowym Jorku, tylko odniosłem wrażenie, że przedstawiony tu Babilon został słusznie zniszczony, że zagłada była rodzajem kary z ręki Boga. Bowiem cywilizacja śmierci donikąd nie prowadzi i lepiej, żeby ludzie się opamiętali. Wydaje mi się, że takich ulicznych akcji u nas brakuje, a kiedyś było ich dużo. Czy nie warto wrócić do zarzuconego pomysłu Festiwalu Teatrów Ulicznych? Do Mesis? Imprez muzycznych było oczywiście więcej (wszystkie były nagrywane przez Polskie Radio). Plastycznie zaprezentowano obrazy Eugeniusza Repczyńskiego z Piły oraz rumuńskie ikony malowane przez dzieci.

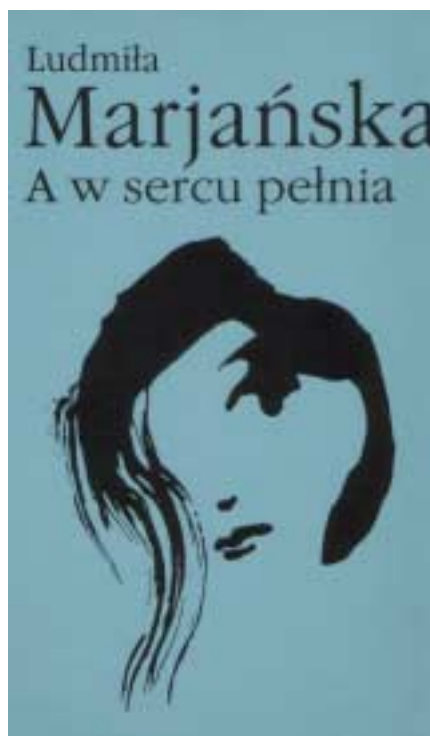
Tematyczną kontynuacją festiwalu był koncert Macieja Maleńczuka „Cantigas de Santa Maria” na zakończenie Festiwalu Recytatorskiego „Sacrum w literaturze”, który odbył się w teatrze. Maleńczuk – skandalizujący wokalista grupy „Pudelsi”, zaśpiewał XIII-wieczne pieśni maryjne napisane przez Alfonsa X Mądryego, przeplatane swoimi współczesnymi komentarzami. Sacrum i profanum w jednym.

W ŚWIECIE PAPIERU

Z nowości wydawniczych warto odnotować trzy sympatyczne pozycje. Pierwsza to antologia poezji Ludmiły Marjańskiej (jej osoby z pewnością nie trzeba częstocho-

wianom przedstawiać) pt. „A w sercu pełnia”, wydana przez „Świat Książki”. Obszerny wybór wierszy opracowany przez Jerzego Krzeмиńskiego zawiera 324 wiersze ze wszystkich dotąd wydanych tomików. Ta potężna porcja poezji stanowi dużą gratkę dla sympatyków poetki, która pisze także słuchowiska, sztuki teatralne, powieści, utwory dla dzieci oraz dokonuje przekładów z literatury angielskiej, irlandzkiej i amerykańskiej. Pani Ludmiła, osoba zasłużona dla polskiej kultury, znalazła się w serii poetyckiej wydawnictwa obok takich legend jak: M. Pawlikowska-Jasnorzewska, L. Staff, J. Tuwim, Cz. Miłosz, R. Wojacek. Zatem jej twórczość można śmiało zaliczyć do klasyki. Pani Marjańska, mimo iż mieszka w Warszawie, jest mocno związana z Częstochową i często tu przyjeżdża.

Małgorzata Baranowska we wstępie do antologii pisze: „*Ludmiła Marjańska jest poetką jasnego dnia. Od początku (...) poetka dąży do ujawnienia jasnej strony życia. Ciągle od nowa podejmuje próbę wypowiedzenia radości i jednocze-*



śnie próbę znalezienia harmonii. Czy naprawdę ma czego zazdrościć szalonym? (...)”. Polecamy.

Druga książka to „najdoskonalsza droga” Aleksandry Toborowicz,



wydana przez „Edycję św. Pawła”. Książka jest właściwie graficzną interpretacją „Hymnu o miłości” św. Pawła. Edycja specjalizuje się w wydawnictwach religijnych. Zna na jej seria „perełek” – krótkich refleksji ilustrowanych pejzażami górsko-morskimi. Praca artystki odbiega stylistycznie od nich, gdyż stosuje nowoczesne rozwiązania typograficzne, dzięki którym tekst uniwersalnego hymnu jest jakby zderzony z futurystyczną rzeczywistością XXI wieku. Ładne wizualnie. Tomik jest pracą dyplomową w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych im. J. Malczewskiego w Częstochowie, a wydana dzięki stypendium Ministra Kultury.

Porą letnią dużym zainteresowaniem cieszą się przewodniki i albumy krajoznawcze. W tym roku natrafiłem tylko na ilustrowany przewodnik po Jurze wydawnictwa „Dikappa” pt. „Na jurajskim szlaku”. Książeczka nieduża (tylko 32 str.), ale estetycznie wydana, zawiera wiele barwnych, pocztówkowych fotografii, uzupełnionych opisem sześciu tras do zwiedzania tego regionu, proponowanych przez autora – Dariusza Kmiotka. Jest także mapka. O Jurze pisze się w Dąbrowie Górniczej, w Częstochowie niestety nie.

Na miejscowej WSP coś drgnęło, bo od pewnego czasu drukuje się tam biuletyn informacyjny „Res Academicae”, redagowany przez Annę Pietrzyk i Joannę Jędrzejewską. Przyzwoicie wydany, sześćdziesięcioczworostronicowy magazyn zawiera oprócz zarządzeń i wiadomości z życia uczelni, ciekawe artykuły dotyczące kultury (także miejskiej). Z trzeciego numeru dowiadujemy się o poetyckich pasjach dr Janusza Hurnika – laureata walentynkowego konkursu Poczty Polskiej na list miłosny; o przekładach poezji Vaclava Havla. Śmiały artykuł o korupcji w kręgach akademickich dowodzi, że pismo nie obawia się pokazywać brudów życia. Magazyn jest bezpłatny i można go otrzymać w budynku WSP przy ul. Waszyngtona.



ZAWODOWIEC

Pod koniec maja (23V) do Częstochowy przyjechał promować swoją książkę pt. „Zawodowiec” Krzysztof Logan Tomaszewski. Jest to biografia jego ojca – Bohdana Tomaszewskiego, znanego komentatora radiowego i telewizyjnego zawodów tenisowych i dziesięciu olimpiad, którego głos dobrze zna głównie starsze pokolenie. Książka opowiada o pokoleniu, które odchodzi w niepamięć, a które przeżyło wiele sukcesów i dni chwały polskiego sportu. Na jej kartach można odnaleźć postacie ze świata kultury, polityki, sportu nie tylko z krajowego podwórka. Wiele

anegdot i nieznanymi szczegółów z życia 81-letniego dziś komentatora okraszonych jest fotografiami ze zbiorów rodzinnych, a lektura posiada jeden ważny morał – trudno być synem znanego człowieka. Logan (pseudonim artystyczny) jest również autorem tekstów wielu przebojów polskich gwiazd estrady (m.in. K. Cugowskiego, zespołu Andrzej i Eliza, I. Santor). Czasami komponuje z Wiesławem Ochmanem. Autor przygotowuje kolejną książkę, tym razem zbiór opowiadań. Spotkanie odbyło się w Empiku.

W NATIONAL GEOGRAFIC

Dużym sukcesem Jacentego Dędka, częstochowskiego fotografa, była okładka majowego wydania magazynu „National Geographic”, na której znalazło się jego zdjęcie z Bursztynowej Komnaty w Petersburgu. Dędek zilustrował zamieszczony wewnątrz numeru artykuł Beaty Pawlikowskiej o otwieranej w maju rekonstrukcji tego legendarnego, zaginionego w czasie wojny podarunku króla pruskiego dla carów Rosji. Nie jest to pierwsza publikacja fotografa w NG. Rok temu zamieścił kilka zdjęć o Cieszynie. Okładka to jednak duże wyróżnienie.



HIP-HOP

„CDS” częstochowska grupa, o której pisaliśmy w „Alejach 3” dwa lata temu, nagrała płytę pt. „Za – gadka” (wyd. „Universal Music Polska”). Trzech hip-hopowców: Pi, Mntlik i Dudni zrobiło zakręconą mieszankę muzyczną, którą określają mianem „future hip-hopu”. 17 rapowanych utworów przyciąga stroną tekstową, która bardzo odbiega od tego, co ogólnie się rapuje w kraju (nie ma podwórek, ganów, gangów, dziewczyn, bijatyk, policji). Natomiast jest wiele zabaw słownych, kalamburów, luźnych skojarzeń, łamanej (czasami abstrakcyjnej) składni. Płytę nagrano w studio „Radioaktywni” w Częstochowie. Gościnnie zagrali muzycy z „Muckle Kfuckle”. Projekt okładki wykonał Jakub Zamojski. W kwietniu „Za – gadka” zajmowała 38. miejsce pod względem sprzedaży w wytwórni „Universal” a więc całkiem wysoko. Latem grupa wyrusza w trasę promującą płytę. Poniżej prezentujemy próbkę tekstu z utworu „36 obrót – powrót” jako ćwiczenie do szybkiego czytania.

„wyniesiony świat-t-taki z lotu ptaka jaki może być z lotu ptaka jaki może być? widoczny jak na czarnych spodniach biała nić kicha prycha depcze ziemia się trzęsie czy schematem czy obiektem westchnień odpowiedź negatyw otchłań pozytywnych przestrzeń pozytywnych przestrzeń tych uniesień pełna drobnych cała kieszeń pusto aż piszczy i dudni elementarnie sucho nie jak na dnie studni czy tam tam a co dalej zepsute robaczywki brzydki owoc koloru pozytywny a tam tam fajne ksywki lukier śliwki kielich a w nim oliwki zepsute gorzki smak oblizanych warg zgorzkniały kalejdoskop spraw a pejzaż krajobraz no dalej mów jasne jasno każdy zdrow wszystko good słońce znów a na ziemi brak wściekłych krów brakuje mi słów cud kolejny świata cud chory zdrow i wszystko mógł a gdzie brud i chłód zastąpiony niemożliwe dziwne no a co z ludźmi jacy smut-



Fot. Jacek Kamiński



*ni trudni mętni ponadprzeciętni
wniebowzięci? ponad ponad teń jak
automat (...)*



PRZY PLACU ARMSTRONGA

Drugim festiwalem majowym był jazzowy „Hot Jazz Spring”. II edycja zgromadziła fanów jazzu tradycyjnego w filharmonii. Główną atrakcją imprezy było wykonanie „Suity nowoorleańskiej” przez zespół „Five o’clock” i Orkiestry Symfonicznej (prawykonania słuchaliśmy w sierpniu ub. roku podczas Dni Częstochowy). Oprócz nich zagrali także „Asocjacja Hagaw”, Mieczysław Mazur, „Jazz Band Ball Orchestra”, zespół gwiazd – „Hot Jazz Spring All Stars” (muzycy polscy i holenderscy), Ray Smiths – król ragtime’u, „Big Band” oraz uczestnicy konkursu „Swingujący kruk”. Organizatorem festiwalu było Stowarzyszenie Jazzowe w Częstochowie. Dwa tygodnie wcześniej odbyły się interesujące koncerty „Walk Away” oraz trio: Milo Curtis, Krzysztof Majchrzak i Janusz Yanina Iwański. Wtedy jednak publiczność nie dopisała. (sb)

BAKAŁARZE, FAETON, C-67, PRYZMATY, MENERIS...

czyli GRUPY LITERACKIE W CZĘSTOCHOWIE.

Od drugiej połowy XX w. w Częstochowie działało kilkanaście grup literackich.

W roku 1958 w periodyku „Nad Wartą” swoje wiersze opublikowała grupa **FAETON**. To był jedyny ślad istnienia tej formacji, której członkami byli: Kazimierz Kościelski, Tadeusz Stanisław Luterek, Andrzej Ostrowski.

Dwa lata później studenci filologii polskiej Studium Nauczycielskiego założyli grupę o nazwie **BAKAŁARZE**. Byli oni związani z klubem studenckim „Belferek”, gdzie organizowano wieczory autorskie i dyskusje o literaturze. Do grupy należeli m.in.: Adam Paweł Janicki, Zenon Pigoń, Janusz Szmidla, Mieczysław Wiśniewski. Większość członków należała do katowickiego Oddziału KKMP. Działali także poza Częstochową m.in. w Kamienicy Polskiej. Przedstawiciele **BAKAŁARZY** wzięli udział w Zjeździe Młodych Pisarzy Polski Południowej w Krakowie w marcu 1961 roku.

W latach 1961-1963 działała grupa **C-61**. Nazwa prawdopodobnie była szyfrem (C, czyli pierwsza litera miejscowości, w której została założona grupa, natomiast liczba 61 oznaczała rok jej założenia). W lutym 1963 związała się z akademickim radiowęzłem Radio-Pryzmaty i przyjęła nazwę **PRYZMATY**. Działalność ugrupowania polegała często na współpracy z klubami młodzieżowymi np. „Czarny Pstrąg”, z którym współorganizowało imprezę o nazwie „Jesień Klubowa”. W początkach roku 1964 Pryzmaty razem z Teatrzykiem Studenckim „Drzazga” miały założyć Teatr Propozycji, w którym wystawiano by widowiska oparte na tekstach jej członków. Projekt jednak nie został zrealizowany.

Na początku roku 1972 w Kłobucku zaczęła działać **GRUPA LITERACKA IM. WŁ. SEBYŁY**. Prezesem grupy został Jan Lipiński. Pierwszym oficjalnym wystąpieniem był wieczór poetycki poświęcony patronowi grupy. Przeprowadzono także konkurs na utwór literacki poświęcony Władysławowi Sebyle. Grupa organizowała wieczory w Lipiu, Kłobucku, Częstochowie, Wręczy. Wspólnie z Klubem Nauczycielskim w Częstochowie była inicjatorem Ogólnopolskich Konfrontacji Poetyckich orga-

nizowanych w Kłobucku. Później Grupa związała się z czasopismem „Nad Wartą”. Zaproponowano jej także udział w almanachu „Młody Śląsk Literacki”, gdzie zakwalifikowały się wiersze T. Gierymskiego i J. Lipińskiego. Oprócz wymienionych członków w grupie działali także: Krystyna i Tadeusz Biskupowie, Longin Kowasz, Maksymilian Sieradzki, Janusz Szmidla, Adam Wojtala, Jan Musiafek, Leszek Pobóg-Wierzchowski. W roku 1974 ukazał się poetycki Almanach grupy.

Grupa LIT-ARS powstała na początku roku 1986 przy Stowarzyszeniu Środowisk Twórczych. Skupiała poetów i plastyków. Nazwa nawiązywała do międzywojennej formacji literackiej, do której należał Józef Rygał. W lutym 1986 roku zorganizowała wieczór inauguracyjny w klubie „SST” Filharmonii Częstochowskiej Krzysztofa S. Wrońskiego; tu też planowano przeprowadzić kolejne spotkania grupy. W czasie przynależności do grupy debiutowały Edyta Gronert, Agata Polak i Klaudia Rabonda. Z informacji dotyczących składu grupy wynikało, że zdominowały ją panie. Oprócz wymienionych były to: Anna Grzywińska, Elżbieta Libel, Janina Łotach.

Przy Stowarzyszeniu Środowisk Twórczych w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych działał „**KLUB LITERACKI 44**” założony prawdopodobnie na bazie grupy Lit-Ars. Pomysłodawcą nazwy był Wiesław Wyszynski, który został jego prezesem. Klub organizował wieczory w „SST” w Filharmonii i wydawał mini arkusze okolicznościowe ze znaczkiem kałamarka i piórka, które przygotowywał Jacek Mikołaj Olszewski. Kolejni prezesi Klubu „44” to Szymon Grzegorzewski i Rafał „Jeżyk” Kasprzak. Członkowie spotykali się również w restauracji muzycznej „Stacherczak”, w mieszkaniu Anny Pośpiech, w OPK „Gaude Mater” i w restauracji „Cepelianka”. Poeci związani z klubem drukowali wiersze w piśmie redagowanym przez Władysława E. Piekarskiego *Mini-Galeria*, a ich debiutanckie tomiki ukazywały się w serii *Częstochowskiej Biblioteki Poetów i Prozaików Częstochowy*. Kilku członków Klubu wstąpiło także do Krakowskiego Oddziału ZLP: Ryszard Sidorkiewicz, Arkadiusz Frania, Rafał Kasprzak.



13 kwietnia 2000 roku z inicjatywy Wioletty Grzegorzewskiej, Renaty Zarychty i Rafała Salamuchy powstał **KLUB LITERACKI „MENERIS”**. Nazwa była neologizmem wymyślonym przez studenta filologii polskiej Krzysztofa Góreckiego. Prezesem i głównym organizatorem działań klubu była Wioletta Grzegorzewska. Grupa wyłoniła się ze stałych uczestników Turnieju Jednego Wiersza organizowanego przez Centrum Amatorskiego Ruchu Artystycznego w OPK „Gaude Mater”, do których z czasem dołączyły inne osoby niekoniecznie zajmujące się poezją (emeryci, ksiądz, licealiści, plastycy, muzycy itd.). W sali konferencyjnej OPK odbywały się wieczory dyskusyjne m.in. na temat poezji współczesnej, warsztaty poetyckie. 29 listopada Klub zorganizował inauguracyjne spotkanie literackie pod nazwą „Wieczór poezji nieposkromionej”, po którym Wiesław Paszkowski z *Dziennika Zachodniego* określił działalność *Meneris* jako „strategię żrebiąt”. 7 marca 2001 roku na scenie OPK grupa wystawiła spektakl poetycki według pomysłu Mateusza Szkopa pt. „Seans”. Wielu poetów z *Meneris* związało się z *Artystyczną Sceną „Błazen”*. W czasie wakacji spotkania odbywały się w kawiarni *ART-CAFE* przy ul. Focha. W ostatniej fazie działalności *Menerianie* spotykali się w *Dekadencji* przy ul. Nowowiejskiego. Członkowie Klubu *Meneris* byli związani z dwumiesięcznikiem kulturalnym *Aleje 3*, w którym publikowali swoje wiersze, jednak nie ogłosili wspólnego manifestu literackiego. Wielu z nich wydało debiutanckie książki, a między nimi Renata Zarychta.

W ubiegłym roku *Meneris* z inicjatywy Mateusza Szkopa podzielił się na dwie podgrupy: w pierwszej pozostało kilku dawnych członków wraz z prezesem, natomiast reszta (zwłaszcza plastycy) spotykała się w pubie „Puerto Rico” i stworzyła nową **GRUPĘ „O1”**, która ogłosiła program działalności na łamach *Alej 3*, we wspomnianym pubie organizowała poetyckie happeningi i wystawy fotograficzno-malarskie. Członkowie jej to: Agnieszka Bugara, Iza Waluda, Tomasz Szewczyk, Mateusz Szkop, Katarzyna Swińto, Jakub Rudziński.

W roku 2001 rozpoczął działalność **JANOWSKI KLUB LITERACKI**. Do grupy należą: Urszula Ostrowska, Ryszard Sidorkiewicz, Krzysztof Lampa, Marek Mańkowski, Adam Korczyński, Rafał Kasprzak, Justyna Kowalik. Spotkania autorskie odbywają się raz w miesiącu w janowskiej bibliotece. Klub zapoczątkował Jurajską Jesień Poetycką im. Z. Krasieńskiego w Złotym Potoku, a jego członkowie utrzymują kontakty z ośrodkami literackimi

w sąsiednich gminach: Myszków, Krzepice, Dobrodzień i współredagują pismo *Echo Janowa*.

opracowała
Wioletta Grzegorzewska

Autorka wykorzystała m.in. informacje zawarte w:

Leksykon: Grupy Literackie w Polsce 1945–1989, Ewa Głębińska, Warszawa, 2000
Literaci w Janowie, J. Kowalik, w: *Aleje 3*, nr 40, s. 28

Od redakcji: pragniemy dopisać do tekstu grupę literacko-artystyczną „*Exkluziv*”, która działała w Częstochowie w latach 1992–1995, a która została pominięta (sb)

Tadeusz Gieryski

Jerzy Liebert – jeden z najwybitniejszych poetów przedwojennej Polski – urodził się w 1904 roku w Częstochowie. Żył zaledwie 27 lat, toteż jego twórczość poetycka jest skromna. Za życia wydał dwa tomiki wierszy. Pośmiertnie ukazała się „Kotysanka jodłowa” (1932). Te ostatnie liryki napisał w Worochowie na Huculszczyźnie, gdzie przebywał kilka miesięcy na kuracji, lecząc gruźlicę. Są to wiersze tragiczne, tworzone w obliczu zbliżającej się śmierci. Cechuje je niezwykła (i zarazem piękna) prostota. Można go zaliczyć do nurtu skamandryckiego. Tekstami Lieberta zachwycali się m.in. Kazimierz Wierzyński, Leopold Staff.

Pamięci Jerzego Lieberta

Kotysanko jodłowa! – pisał Liebert o trumnie, o szumie, o swoim umieraniu,

W termometrze rtęć pnie się
coraz wyżej i wyżej,
winogrona ktoś niesie
stojącemu pod krzyżem.

Nie pomogą huculskie owoce
ani hausty górskiego powietrza.
Dni stawały się ciemne jak noce
a twarz – od rtęci bledsza.
Kotysanko jodłowa,
ukołysz poety wiersze,
gdy wciąż gorętsza głowa
a coraz chłodniejsze serce.

Kotysanko jodłowa, wiatrowy szumie,
nie każdy umierać umie
w zwykłych, najprostszych słowach.

Cienka, wyraźna linia

Trwające od 15 do 18 maja br. w Pałacu Kultury i Nauki 48. Międzynarodowe Targi Książki zgromadziły prawdziwy gwiazdociąg autorów różnej kategorii wagowej: Henryk Grynberg, Izabela Sowa, Ewa Lipska, Robert McLiam Wilson, Julia Hartwig, Jurij Andruchowicz, Ernest Bryll, Adam Zagajewski, Jarosław Marek Rymkiewicz, Tomasz Piątek, Tomek Tryzna, Maria Janion, Janusz L. Wiśniewski, Jerzy Pilch, Daniel Passent, Marek Nowakowski, Jan Miodek, Ingmar Villquist, Wojciech Jagielski, Jonathan Carrol, Hanna Krall, Katarzyna Grochola, Zygmunt Kałużyński, Dorota Terakowska, Zygmunt Kubiak i wielu, wielu innych.

Było kilkaset stoisk przygotowanych przez wydawców, dzikie tłumy odwiedzających, polujących na autografy i kupujących, którzy przemieszczali się głównie tropem kamer i obiektywów aparatów fotograficznych wycelowanych bezwzględnie w zasiadające przy swoich stolikach gwiazdy, bo media także dopisały. Były też panele dyskusyjne oraz inne imprezy towarzyszące, związane na przykład z Hiszpanią, której literatura występowała w roli honorowego gościa – słowem wszystko, co mogło przyciągnąć czytelnika. Wśród boksów znalazło się nawet stoisko oferujące szybką i nowatorską metodę czyszczenia okularów, do czego służył zestaw nieco podejrzanie pachnących chemikaliów. „To zapewne największa impreza kulturalna w Polsce” – domniemywał kolportowany podczas targów „Kurier Wydawniczy”.

Od początku nie dawał mi spokoju problem długopisu i dedykacji.

Moja kolej nadeszła ostatniego dnia targów. Wydawca wydrukował plakaty, zarezerwował godzinę, wynajął długowłosą i chyba nieletnią blondynkę, która krążyła wśród odwiedzających i z promiennym uśmiechem wciskała karteczkę z zaproszeniem na spotkanie z autorem, czyli ze mną. Miałem tylko usiąść przy stoliku i podpisywać książki, ale ponieważ debiutowałem w tej roli, nie wiedziałem, czym prawdziwy pisarz podpisuje. Odziedziczone po dziadku pióro „Pelikan” wydało mi się pretensjonalne. Złota stalówka błyszczała zbyt nachalnie, ale z drugiej strony – kto to mógł wiedzieć? Może jednak? Zabrałem. Zabrałem też stalowy długopis, wykwintny nienachalnie, niemiecki czarny cienkopis, który kojarzy się tylko z monotonną biurową pracą oraz plastikową jednorazówkę ozdobioną nazwiskiem polityka startującego przed kilkoma laty w wyborach.

Z dedykacją poszło łatwiej. Przyjechałem do Pałacu kilka godzin przed moim występem

i zacząłem krążyć w poszukiwaniu wzorca. Na szczęście tuż przy wejściu spotkałem obłożoną przez fanów Krystynę Siesicką. Wepchnąłem się między nich, spojrzałem pisarce przez ramię i niepokój przeszedł jak ręką odjął. „Basi z serdecznościami – Krystyna Siesicka” – przeczytałem. „Kasi z serdecznościami – Aleksander Wierny” – pisałem potem pewną ręką i z uśmiechem zawodowca. Czarnym cienkopisem, bo Siesicka miała podobny.

Zostało mi trochę czasu więc mogłem podpatrywać prawdziwych profesjonalistów. Dorota Masłowska przefarbowała się na blond i narzekała do kamery, że przyjazd na targi to strata czasu. Jak zawsze nerwowy Marcin Świetlicki podrygiwał na swoim krzeselku, jakby właśnie brał udział w koncercie „Świetlików”; w jego ciemnej do tej pory czuprynie zauważyłem pierwsze siwe włosy. Fotogenicznie i od zawsze szpakowaty Bogusław Wołoszański nadzwyczaj chętnie pozował do zdjęć – wydawał się dużo wyższy, niż w telewizji. W potężnej kolejce tłoczącej się do Sławomira Mrożka zauważyłem wśród anonimowych wielbicieli karnie czekającego popularnego pieśnią Jacka Kaczmarskiego i pomyślałem, że na szczęście nie wszystko się zmienia, że kultura naprawdę wysoka jest ważniejsza, że istnieje cienka, ale wyraźna linia oddzielająca ją od tego, co po prostu popularne.

Aleksander Wierny





Beata Brodowicz-Szymanek



Sławomir Burszewski



Arkadiusz Frania



Waldemar M. Gaiński



Tadeusz Gierymski



Tomasz Gładysz



Wioletta Grzegorzewska



Szymon Grzegorzewski



Lech Górnicki



Wojciech Grabałowski



Elżbieta Hurnikowa



Marcin „Jeżyk” Janocha



Elżbieta Jeziorowska-Wróbel



Andrzej Kalinin



Rafał „Jeżyk” Kasprzak



Justyna Kowalik



Małgorzata Kot



Barbara Łągiewka



Ludmiła Marjańska



Małgorzata Matera



Bartosz Mazur



Janusz Mielczarek



Janusz Pawlikowski



Władysław E. Piekarski



Krystian Piwowarski



Ryszard Sidorkiewicz



Marta Smoleń



Rafał Socha



Mateusz Szkop



Ksiądz Grzegorz
Ułamek



Aleksander Wierny



Zbigniew Wołczyński



Krzysztof Wroński



Renata Zarychta

Fotografie autorstwa
Dominika Warkiewicza.
Fotografia
Sławomira Burszewskiego
autorstwa Piotra Dłubaka

Nota od redakcji

Powyżej prezentujemy częstochowskich pisarzy, z którymi mieliśmy sposobność spotkać się 14 i 15 czerwca na pierwszych **CZĘSTOCHOWSKICH DNIACH KSIĄŻKI** – przedsięwzięciu pionierskim, oryginalnym, ważnym, potrzebnym, które nie sposób przecenić i któremu, z myślą o przyszłości, trzeba pomóc.

Z uwagi na cykl wydawniczy naszego kwartalnika nie mogliśmy w bieżącym numerze zamieścić wypowiedzi pisarzy oraz przedstawicieli organizatorów: Miejskiej Galerii Sztuki, Biblioteki Publicznej i Gazety Częstochowskiej. Uczynimy to w numerze następnym. Redakcja „Alej 3” zwraca się zatem z prośbą do pisarzy, organizatorów, wydawców i wszystkich osób zainteresowanych książką o nadsyłanie do 5. sierpnia na adres Biblioteki Publicznej w Częstochowie: Aleja Najświętszej Maryi Panny 22 wypowiedzi na temat potrzeby organizowania CDK, częstochowskiego rynku książki, sytuacji pisarza (problemów finansowych, wydawniczych, promocyjnych i innych, z którymi musi się on borykać). Być może macie pomysły racjonalizujące organizację CDK. Napiszcie o tym do nas. Wypowiedzi prosimy nadsyłać w formie wydruku (3/4 strony A4) plus dyskietka z dopiskiem: CDK. Pisarzy prosimy o zamieszczenie informacji nt. swojego istniejącego już dorobku lub publikacji będących w realizacji. Osoby piszące, których nie było na CDK prosimy o nadesłanie swoich zdjęć. Niechże świat pozna wasze twarze. Zaprezentujemy się jako zwarte i dynamiczne środowisko literackie, bez obscurnego i niesprawiedliwego podziału na tych z SPP, z ZLP, na niezrzeszonych, zasłużonych, nagrodzonych, debiutujących, bo w końcu wszystkich nas łączy ten sam los: samotne zmaganie się z kapryśnym i cudownym tworzywem słowa, z warsztatem pisarskim, z ciągłym dążeniem do harmonii formy i treści.

Ślimaki

Tomasz Matkowski*

– ...Albowiem dzisiaj modlimy się do Pana od WF-u:

„Zdejm chłopców z murawy...”

modlitwa moderna

Halo? Wiesz, kto mówi? Wiedziałem, że wiesz. Myślę też, że wiesz, czego chcę od ciebie, ale mimo wszystko wypowiem to głośno. Po pierwsze: żadnych niespodzianek – niech złe mi się nie śni. Wiesz dobrze, że praca mnie wkurza coraz bardziej. Czy zamierzasz coś z tym zrobić? No i oczywiście nie wiem, dlaczego Kaśka do tej pory mnie nie zauważa – jej miłość zamawiałem dwa tygodnie temu. Dostyc niecierpiącą zwłoki kwestią jest moje zdrowie, bo coś mnie gardło boli ostatnio.

Jeszcze jakbyś mógł... Zemsty szukam – drań wykiwał mnie na kilka tysięcy!

Słyszysz mnie?! Do tego dużą pizzę i podwójne frytki. To JA się jeszcze odezwę...

W domu: recenzja

Autor próbuje przedstawić nam w krzywym zwierciadle, którym jest telefoniczna rozmowa z jakąś istotą wszechmogącą (typu boskiego), postawę człowieka współczesnego. Jego przesiąknięte konsumpcją i wieczną bieganiem życie. Na boczny tor spycha sprawy duchowości i całym swoim jestestwem prezentuje okazałość swojego ja. Ślady egocentryzmu widoczne są niemal w każdym słowie utworu. Bóg, jako odbiorca „listy życzeń” wydaje się być bierny, jakby postuszny, nie protestuje i zdaje się jakby za chwile miał zejść w całej swej boskiej skromności i przynieść „modlącemu się” pizzę i frytki...

Brak szacunku dla Wszechmogącego jest irytujący i nie sądzę aby osoby wierzące mogły pozytywnie odnieść się do tego utworu.

dst –

vs. czyli kontra

- Proust?
- Nie.
- A co?
- „Pan Samochodzik”

Kochamy Promocje

TĘPO patrząc na zgrabne ręce kasjerki kontrastujące z jej człowieczym znużeniem. Pik, pik pika przyrząd kasjerki. Do tego jeszcze promocja wrzeszczy na mnie ze wszystkich stron i ze wszystkich sił. Moje dzieci: syn Talon i córka Promocja biegają po całym supermarkecie. Ludzie się im przyglądają i z reguły są przychylni. Często nawet nieświadomie darzą je sympatią. Niska Cena jest bogiem, który polepsza warunki życia bez modlitwy. Szybki i sterylny bóg, jak karta kredytowa, jak kredyt konsumpcyjny...

Tam nieraz wychodzę, gdy chcę się spotkać z Tłumem. Opinia publiczna mieszka w supermarketach. Wejść jest łatwo – wystarczy iść po nitce światełek i kolorów rozlanych na chodnikach; wystarczy Zgłodnieć. Za to wyjść... Wyście jest tylko przez górę wysoką na 8000 m. Biorę raki na nogi i czekam w rękę. Idę, choćbym miał na głowę spaść. Zostawiam Promocję na pożarcie.

„Uważaj w którym miejscu zostawiasz dzieło swojego życia”. Uważam.

zderzenia vol. 1

...w zadumieniu a przez całe morze inaczej przepływamy pod postacią legendarnych wojowników i hasanów piorunowych; wspólne losy wina i winowajcy nie gwarantują przepelnienia czary goryczy bo oto ironia że ze złota ona; na włosach i matronach poległe małe myszki ze strachu i po obiedzie w gwiezdny pył żywcem się popielą jako że obliczam nieskończoność pi liczby co czterdzieści i cztery bije czy szachuje może na głowę; w 1952 padło na grypę tyle a tyle niebezpiecznie jest obierać metafizyczne króliki tą porą bo w imię zasad i praw fizyki negujemy oczywistym zaistnienia prakseologicznie dodatnio naładowanych nukleonów o podstawie binarnej posiadających świadomość outsidera z bajki o Czerwonym Kapturku i tysięcznej nocy dla której Szeherazada zrobiła półobrót i wypowiedzenie w kierunku urojonego słuchacza lub gina z butelki bo przedstawiało się kobiecie albo Semiramida widzę ją podlewającą kwiatuszek w wiszących na jednej linie jak Wanda R. ogrodach a przecież deszcz pada więc po co ten kłopot kochanie to samo przez się czyli zysk bez ryzyka...

– Panie, zacznij pan wreszcie wykładać zakupy na taśmę, bo ludzie czekają...

– ... owie nie zofują ieważ mi są ofią nioną.

gastrofaza

Zauważyło się u siebie dziwne upodobania ostatnio. OTO następuje łapanie gastrofazy, gdy otworzy się lodówkę, a w środku leży spokojnie ONA – Kiełbasa Zwyczajna. Wcale nie parafrazuję tutaj wierszy Wojaczka ani Ziemianina, jednak fakt jest faktem: radosne kęsy kiełbasianego tworu wywołują jakieś żądze podprogowe całkiem. Oczywiście, że na surowo. Oczywiście, że bez obierania z bliżej nieokreślonej skórki, tylko na żywcza zawsze. Duch wszelkiej swojskości mile się panoszy naówczas w mym żołądku i hulaj dusza jak malowanie! Aczkolwiek jest coś z ucieczki ostentacyjnej i desperackiej „do parobka”, jak uciekali się ongiś do motywu wiejskiego znakomici pisarze. Jednak potem to zapieć pierwszej jakości i czystości lmką, to już granica jest wszelkiego wypasu, a po starym sielanki. I choć skondensowanym jest dniem powszednio-robotniczym, a zawinięta w zgrzebny papier kłóci się straszliwie z „Twoim Stylem”, to jednak w jej miąższu czai się cudownie przycupnięta polskość, do której kropelka wódki to już duch słowiański.

** studiuje na Politechnice Częstochowskiej i w częstochowskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej*

Ciotka Doriana

Konrad Ludwicki

Bywało (rzadko, ale jednak), że Dorian odwiedzał swoją ciotkę Gracjanę w jej pokoiku urządzonym w stylu rokoko. Szanował ją i podziwiał. Był dla niej miły i nieustannie jej przytakiwał. Nie chciał denerwować starej, pocziwej cioteczki. Pewnego jesiennego wieczoru cioteczna Tekla przygotowała dla Doriana przepyszną korszotkę. Dorian jadł ze smakiem, połykał kęsy warzyw i kawały mięsa. Jadł i patrzył w talerz. Potrawy ubywało i Dorian spostrzegł na dnie talerza... pęk kudłów przypominających psią sierść, wiązkę włosów, coś tego typu...

– O, zesz kurna – zaklął cichutko.

Nie chciał sprawiać przykrości ciotce, która miała tyle radości, gdy obserwowała jak konsumuje gęstą korszotkę. „Włosy w potrawie – to mogłoby ją zasmucić i wprawić w zakłopotanie” – dumał. Dorian nie namyślając

wiele połknął „ze smakiem” pęk włochatej sierści, czy cokolwiek to było...

Dwa opowiadania o niepospolitym człowieku

Pewien człowiek mieszkał w małej miejscowości, właściwie wsi, gdzie liczba mieszkańców nie mogła przekraczać sześćdziesięciu paru osób. Okolica była spokojna i biedna. Był to rodzaj kotliny i anteny telewizyjne nie odbierały fal. Pozostawało radio. Jediną rozrywką – a i edukacją – było słuchanie audycji radiowych.

Od trzech lat słuchał radia w godzinach od 18.00 do 19.15. Właśnie wtedy prowadziła swój program autorski „Ona” – obca, którą poznawał jedynie po barwie głosu. Był jej najwierniejszym słuchaczem, płomiennym wielbicielem, chłonał każde jej zdanie. Prowadziła audycje półszepem, który doprowadzał go do amoku i obłędu. Słuchał radia i niejednokrotnie nagrywał jej charakterystyczny miękki dyskant o intymnej barwie, by dnia następnego móc raz jeszcze wysłuchać ulubionej wypowiedzi. Minął kolejny miesiąc, a on wciąż pochłaniał jej półtony z otwartymi ustami. „Jak wygląda?” – myślał. „Jest młoda – to na pewno, szcupta szatynka, krótko obcięta. Tak. Z pewnością szatynka.” Kiedyś odważył się zadzwonić. W rozmowie była miła i opiekuńcza. Rozmawiali chwilę i pożegnali się krótkim „do usłyszenia”. To zachęciło go, by poznać ją osobiście. Ośmielił się udać do niej. We wtorek rano wsiadł do pociągu i pojechał w kierunku miasta, w którym była rozgłośnia radiowa. Cztery godziny czekał na korytarzu, gdy nagle usłyszał za sobą jej aksamitny głos.

– Pan do mnie?

– Taak – odwrócił się, a jego serce stanęło na chwilę

Zobaczył monstrum. Była tłusta i spocona. Przypominała psa. Wyglądała jak mężczyzna. Zaniemówił. Spoglądała na niego, lecz on wciąż milczał.

– Pewnie jesteś jednym z tych gnojków, którzy myślą, że jestem piękna, a później są zawiedzeni. Piękny mam jedynie głos – orzeszku...

– yyy yyy – próbował wykrztusić cokolwiek, ale bez skutku.

Podeszła do niego na odległość metra i silnie kopnęła go w kostkę. Odczekała chwilę i kopnęła raz jeszcze, tym razem w piszczel. Potem bez pośpiechu oddaliła się w kierunku drzwi. Zwinął się z bólu. Przez następne dwa dni nie mógł stanąć na nogi.

robak.blog.pl
2003-02-16

sto myśli na przykład

dziś całe popołudnie szperałem w swoich starych zapiskach, jakie ja bzdury wypisywałem...hehe. oto część moich myśli sprzed kilku ładnych lat.

4. „nawet w beznadziejności można znaleźć chwilę piękna”

6. „jak nie wpaść w monotoność skoro wszystko z czasem staje się takie samo?”

7. „dlaczego siedzenie z kimś przy stole zawsze obliuguje do rozmowy?”

10. „tylko jedno słowo nie pochodzi od Boga „nie wiem”

15. „pytacie czym jest wiara? niedzielą w samo południe”

16. „czasami wierzę, że plujesz na mnie z wysoka, ale to przecież tylko deszcz”

18. „jestem nikim. z takim to by konie kraść”

24. „mój cień, choć tylko wieczorem jest bardziej autentyczny ode mnie”

29. „słońce jest chyba zmęczone tym ciągłym wschodem i zachodem. nie dziwię się. mnie też to czasami męczy”

30. „zmieniam ławkę zupełnie jakbym zmieniał siebie”

31. „nigdy nie potrafię się bardziej zachwycić chwilą niż kobietą”

39. „nie ma problemów tylko wtedy gdy się o nich nie myśli”

40. „sami tworzymy sobie światy, w których źle się czujemy. pytanie: dlaczego to robimy?”

41. „stale zamykam to co stoi przede mną otworem”

42. „jak mam nie troszczyć się o jutro, skoro jutro i tak będzie”

43. „kobiety lubią nie rozumieć”

45. „życie bez celu jest o wiele prostsze”

46. „już wiem gdzie Bóg przesiaduje. w nocnym tramwaju”

47. „kobieta jest jak róża. po prostu fajnie wygląda”.

49. „czasami powrót jest cięższy od rozstania”

50. „ważne by dostrzec to co niewidzialne”

52. „samotność nie daje spokoju, a jedynie wielkie poczucie strachu”

54. „czy to normalne, że czym jesteśmy starsi tym mniej się uśmiechamy?”

59. „nawet w zamkniętym pokoju dokądś uciekamy”

61. „bardziej niż śmierci boję się swoich myśli”

62. „wciąż powstrzymuję płacz. zupełnie jakbym magazynował łzy na inną okazję”

64. „wbrew temu co głosi Kościół, wiara jest dla ludzi bardzo silnych”

66. „palenie przypomina mi moje życie. z każdym papierosem czuję się bardziej wypalony”

67. „zawsze w chwilach słabości sięgam po flaszkę radości”

68. „zdrada jest największym grzechem. Boga zdradzam najczęściej”

70. „miłość jest niczym innym jak tylko utopijną wiarą w szczęście”

72. „samowystarczalność musi prowadzić do oczyszczenia się z wszelkich emocji”

74. „nawet gdybym zaczął wszystko od początku, myśli i tak się nie wyzbędę”

77. „papier toaletowy – to najpiękniejsza nazwa dla najbrzydszej rzeczy”

82. „w zamkniętym pokoju jest więcej ścian niż mnie samego”

85. „gdy uświadomiłem sobie, że mnie nie ma, dziwiłem się, że ludzie jeszcze na mnie patrzą”

88. „przecież jest jeszcze chwila i moment, a niekoniecznie czas”

89. „boli mnie wyrostek robaczkowy, a zawsze miałem nadzieję, że nazwisko mnie od tego uchroni”

90. „gdy składam dłonie do modlitwy, nigdy nie wiem, czy to wiara czy tylko nadzieja”

94. „są miejsca w których nie ma znaczenia gdzie jesteś. ważne byś był”

97. „niełatwo być człowiekiem”

99. „na co nam teatr, skoro uczestniczymy w największym spektaklu świata”

to by było na tyle: kto wie może kiedyś coś jeszcze dorzucę.

od redakcji: powyżej oryginalny zapis z internetu

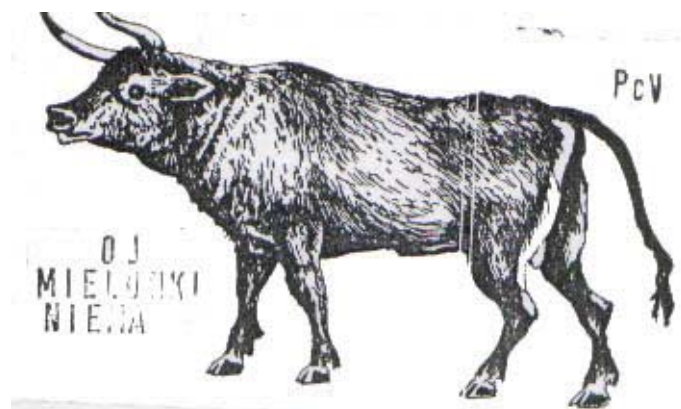
Łukasz Robak prowadzi swojego bloga (dziennik internetowy) od grudnia roku 2001. Do tej pory odwiedziło go ponad 6200 osób. Z niektórymi rozmawia na gadu-gadu, lecz dla większości pragnie zostać anonimowym autorem spostrzeżeń, trochę poetyckich, trochę egzystencjalnych. Przy pierwszym czytaniu działają przygnębiająco (w przeglądzie blogów napisano: „sadosochistycznemu pesymizmowi stop!”), ale wielu bywalcom stron www odpowiada ten klimat smutku. Łukasz nieregularnie wpisuje kolejne strony. Jego intymne zwierzenia czytają zupełnie obcy ludzie, którzy nie znając go osobiście mogą bez uprzedzeń wypowiedzieć się na jego temat. Na głównej stronie bloga jest zdjęcie z filmu „Amelia” – historii zwariowanej, acz uroczej, dziewczyny. Co pisze Robak? Krótka próbka jego złotych myśli powyżej. (sb)

MIT O POWSTANIU ŚWIATA (KOSMOLOGIA)

Na początku był chaos... i tak już zostało. No, może poza tym, że było ciemno. Bóg wiedział, że ciemność jest zła, dlatego wymyślił latarkę. Niestety zwykłe baterie były zawodne, ponieważ starczały na bardzo krótko, więc Bóg stworzył baterie działające do siedmiu razy dłużej i tak oto powstały baterie Duracell. Bóg wiedział, że światłość jest dobra, ale nie był też ślepy, więc zauważył, że było cholernie pusto. Stworzył więc trawę i zauważył, że była ona dobra. Przypomniał sobie, że nic nie jadł od pierwszego dnia tygodnia (a był już dzień trzeci) rzekł więc: „niechaj Ziemia wyda drzewa rodzące owoce”.

Bóg w przypietywie euforii zaczął tworzyć różne dziwne rzeczy: Słońce, Księżyc, gwiazdy, zwierzęta, w tym ryby, ptaki i pokemony (te były niezłe, a nawet całkiem dobre). W chwilach, kiedy nie myślał co by tu dobrego wymyślić tworzył mniej dobre obrazy, a wreszcie rzekł: „Uczynimy człowieka na nasz obraz. Niech panuje nad rybami morskimi (bo są też latające, nad nimi nie miał panowania), nad ptactwem powietrznym (i strusiami), nad bydłem i pokemonami”. Stworzył więc Bóg człowieka. Na obraz Boży go stworzył. Tak upłynął poranek i dzień szósty. Siódmego dnia Bóg stworzył nalewkę w kartonie; pominiemy, co Bóg robił siódmego dnia. Od tamtej pory przyjęto się, że dzień siódmy jest wolny.

Bóg widział, że mężczyźni brakuje rozrywki (a brak rozrywki jest zły), stworzył więc ulicę Dekabrystów, a na niej liczne dyskoteki. Pozwolił mężczyźni korzystać ze wszystkich dóbr na Dekabrystów, zabronił tylko jednej rzeczy - chodzić do Portera. Była to bowiem jedyna dyskoteka, gdzie można było dostać nalewkę w kartonie (Bóg JUŻ wiedział, że nalewka w kartonie jest zła). Powiedział: „Nie pij nalewek w kartonie, bo umrzesz”. W pewien piątek na DK mężczyzna wybrał się na punkowy koncert „Aniołów” z nowym wokalistą (wcześniejszego – Lucyfera – wyrzucono z kapeli za noszenie skrzydeł na lewą stronę i skłonności homoseksualne). Mężczyzna próbował otworzyć piwo zębem. Jednak nie wiedział, że otwieranie piwa zębami jest złe. Dlatego Bóg dał mężczyźni otwieracz, a dla ukojenia smutku po zębie, który mu wypadł, uczynił kobietę. Mężczyzna zabrał kobietę do jednego z barów na DK o nazwie Eden. Przed wejściem spotkali żuła, pedała, syna Lucyfera.



Mężczyzna spodobał się żulowi:

– Cześć, przystojniaczku. Czemu prowadzasz się z tą wywłoką?

– Spadaj, ty wstrętny, brudny, owłosiony, bezzębny, łysy pedale.

Mężczyzna do końca nie wiedział co oznacza ostatnie słowo, jednak jego przeogromna inteligencja podpowiadała mu, że to dobry moment na użycie tego właśnie słowa.

– Ty brutalu! Ja zbieram tylko na kartonik. – odpowiedział żul.

– Kartonik?!? – zaciekał się mężczyzna.

– Nie wolno nam pić nalewek. – przypomniała niewiasta.

– Cicho, kobieto!!! – wrzasnął mężczyzna, po czym zapalił papierosa marki Godsmack, zaciągnął się mocno i zapytał:

– Słuchaj, pedale (mężczyźni najwyraźniej spodobało się to słowo) czy jeżeli damy ci parę groszy to i nam kupisz nalewkę?

Na to rzekł żul: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: kupię wam tę nalewkę, bo jest to największe dobro na Dekabrystów, ale czemu nie możecie kupić jej sami?”

– Gdyż Pan nasz i stwórca, Bóg, zapowiedział nam, iż jeżeli wypijemy nalewkę z kartonu to umrzemy. Zabronił nam również chodzić do Portera.

– To kit wam pocisnął, ja codziennie piję i żyję.

Po czym żul subtelnym gestem założył włosy za ucho, delikatnie odrzucił głowę i powiedział:

– Chodźmy!

Kobieta jednak wciąż usiłowała powstrzymać mężczyznę od popełnienia grzechu

– Zaufajmy Bogu, on jest dobry. Amen.

Lecz zdecydowany mężczyzna odrzekł:

– Nie chcę mi się z tobą gadać, lepiej podaj mi piwo, kobieto.

– Facet to świnia – bąknęła pod nosem.

Pierwsi ludzie wypili haniebny, aczkolwiek dobry w smaku, napój. Opis namawiania ko-

biety omiemy ze względu na oszczędność papieru. Rano obudzili się na kacu i odkryli, że są nadzy, jednym słowem ktoś zwinął im ubrania. Mężczyzna bez wiedzy Boga pożyczył sobie jego spodnie, te zaś były za duże. I tak mężczyzna został skejtem. Kobieta natomiast odcięła kawałek nogawki. Starczyło jej tylko na dość krótką bluzkę i jeszcze krótszą spódniczkę. W ten sposób została ona... no, sami wiecie kim, a może raczej czym. Tak bardzo bolały ich głowy, że skryli się w ogródkach działkowych. Bóg przechadzając się po nich (po ogródkach nie ludziach) w poszukiwaniu swoich spodni słuchał muzyki ze swojego walkmana i nucił swoją ulubioną piosenkę „(...) jestem Bogiem, wyobraź to sobie... o rany, rany jestem niepokonany (...)”. Nagle potknął się o leżącego w krzakach mężczyznę. Poczuvszy aromat nalewki zaczął krzyżeć. (Słowa wypowiedziane w owym czasie przez niego obejmujemy cenzurą).

Żula-pedała, który namówił ludzi na nalewkę skazał na sypianie w rowach i wiecznego kaca, a jego ojcu przyprawił rogi. Za kradzież spodni Bóg nastął na mężczyznę cherubinów, ale ten w porę wziął nogi za pas, kobietę pod pachę i uciekł z Dekabrystów krzyżąc: „Nas nie dogonją”. Obiecali sobie, że już nigdy nie wrócą na DK, bo to miejsce przynosi im pecha. Nadali sobie również ksywki: Adam i Ewa. Jednak sami nie wiedzieli, dlaczego akurat takie. Na koniec dodamy, że spłodzili oni liczne potomstwo m.in.: Kaina, Abła, Kubę Wojewódzkiego, Andrzeja Leppera oraz Madonnę.

Katarzyna Trynkiewicz i Adam Stężala

ZAKŁÓCONO

Krzesełko służy do siedzenia, piłka służy do rzucania. Takie aksjomaty. Rzucanie krzesełkiem wydaje się wbrew podstawowej funkcji mebla. Zaburza to porządek rzeczy. Nie ma się jednak, co dziwić. Staruszki chodzą ze skarpetami na butach. Zakłócona kolejność zakładania. Zbierają one puszki po hasiokach. Z jednej torbki nie parzy się dziesięciu herbat, a z niedopałków nie skręca się papierosów.

A wracając do krzeseł, skuteczne jest rzucanie nim. Adekwatne jako reakcja na wkradający się zamęt. Bo gdy uznany pianista daje lekcje ze swego instrumentu, to nie sadza sobie uczennicy na kolanach. Zwłaszcza, gdy nikogo nie ma w domu. Zwłaszcza, gdy chwytając ją za pierś nie znajduje jej.

Nie musi chować się za sutanną czy immunitem by być bezkarnym. Matka rzuciła tylko

krzesełkiem, bo prócz słabej herbaty nic dla córki zrobić nie mogła.

Tak cieszyła się, że sąsiad za darmo pocucy gry, może da poparcie, postaćo by się dziewczynę do szkół. A on postaćo ją jedynie na spotkanie z chodnikiem. Z którego piętra wyskakują zwykle samobójcy? Policja nie udziela takich informacji. Nie udziela też pomocy. Policja wcale się nie udziela.

Krzesełko służy do siedzenia. Małe dziewczynki bawią się lalkami. Mężczyźni nie bawią się dziewczynkami, bo te nie potrafią latać. Takie aksjomaty.

*Piotr Nita
Grudzień 2002*

NIEWIDZIALNY CZŁOWIEK, KTÓRY NADE WSZYSTKO LUBIŁ PATRZEĆ W GWIAZDY

Pewien człowiek był niewidzialny. Nikt nie znał jego imienia, bo nikt nie wiedział o jego istnieniu ponieważ nikt go nigdy nie zobaczył.

Pan ten obudził się pewnego razu w swym niewidzialnym łóżku i wyszedł na ulicę.

Był już wieczór. Niewidzialny Człowiek zawsze wychodził w nocy, by móc podziwiać gwiazdy. W pewnym momencie zatrzymał się na środku ulicy i zagapił w niebo. Księżyc oślepił go nieco i Niewidzialny Człowiek nie zauważył zbliżającego się pojazdu. Rozpędzony samochód wjechał w Pana i wbił go między kratki ściekowe. Niewidzialny Człowiek jakoś by sobie pewnie poradził, gdyby nie to, że jego dłoń utknęła między kratkami i nie dało się jej uwolnić. Wystawała nad ulicę i ludzie po niej deptali.

I po dziś dzień na jednej z ulic jednego z miast ludzie wciąż potykają się w jednym miejscu nie wiadomo o co, a samochody wciąż podskakują na niewidzialnym wyboju.

Chcemy pomóc Niewidzialnemu Panu! Przepisz ten tekst 25 razy i rozdaj znajomym. Za każdy jeden egzemplarz na konto naszej Akcji Pomocy Niewidzialnemu Człowiekowi wpływają 2 grosze. Gdy tego nie podasz dalej, najprawdopodobniej spadniesz ze skały albo spadnie ci cegłówka na głowę. Sprawdzone!...

Grażyna Siedlecka

* nota od redakcji: grupa literacka „Blee” zbierała się dawniej w „Dekadencji”. Obecnie można ich spotkać w „Pani Dulskiej” przy ul. Kopernika. Grupę tworzą: Grażyna Siedlecka, Katarzyna Trynkiewicz, Mateusz Byczkowski, Piotr Nita, Adam Stężala, Michał Wojciechowski.

Ludmiła Marjańska

Zegary

Lubię stare zegary,
które nakręcać trzeba.
To jakby pomagać godzinom
płynąć do nieba.

Dawniej w niedzielne południe
podciągał łańcuchy wagi –
z uwagą należną ważności –
mój ojciec pełen powagi.

Teraz ja je podciągam
pośpiesznie i niedbale.
Śmieszny nawyk, bo przecież
nie muszę śpieszyć się wcale.

Samotna i niczyja
czasu mam nazbyt wiele,
a zegar godziny wybija,
odlicza kolejne niedziele.

Mój stary zegar tyka,
jakby śpiewał piosenki.
Gdy jego wagi dotykam,
czuję dotyk ojcowskiej ręki.

listopad 2002

Wisławie Szymborskiej

* * *

„Jacyś ludzie” to my
wygnańcy Ewy
ze starej pieśni pielgrzymów
idących na Wzgórze
to my
szukający ucieczki przed życiem
do życia
Poszukiwacze skarbu
wolności
schronienia
ciepła
przyjaznego słowa
To my
pokaleczeni zranieni
ciągnący bagaż trosk
lat
Oślepieni
reflektorami spojrzeń
Jacyś ludzie nas widzą
omijają
sądzą
Grzebią w przydrożnej ziemi
obcych sobie
wygnańców

2002

* * *

I to co ocalało ma zostać zburzone
Burzę się przeciw temu
Kamienica na rogu Placu Zbawiciela
i Marszałkowskiej
rozbierana do cegły
na oczach przechodniów
czerwieni się ze wstydu
Patrzy wybitym okiem
jego szklistą resztką
na zdruzgotany szkielec
na schodzone progi
Trwają jeszcze piwnice
pełne przetworów
powstańców
pamięci.

2001



Niecodzienny debiut

W Częstochowie zadebiutował kolejny młody poeta - Marcin Janocha, laureat zeszłorocznego Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. H. Poświatowskiej i Turnieju Turniejów Jednego Wiersza w OPK „Gaude Mater”. Jego książka pt. „niecodziennik” ukazała się dzięki pomocy finansowej Centrum Amatorskiego Ruchu Artystycznego.

Oryginalny tomik ma przemyślaną klamrową kompozycję. Otwiera go wiersz pt. „Dzień jak co dzień”, a kończy utwór, który jest tematyczną „kalką” pierwszego pt. „Dzień jak nie co dzień”. Autor ma tendencję do treściowego i formalnego „zamykania”. Często kończy wiersze wyraźną puentą, lubi stosować paralele, które zamykają poszczególne zwrotki. Samotne słowa też są zamknięte w wężykowatych, „rózewiczowskich” konstrukcjach, a tytuł wygląda, jak matematyczny wzór z nawiasami

kwadratowymi: [[nie [co]] dziennik]. Może jednak, co za dużo to nie zdrowo?

W tym klaustrofobicznym poetyckim świecie dominuje liryka wyznania. Bohater kontempluje codzienność, spowiada się przed samym sobą. Wręcz delektuje się myślami, z którymi prowadzi, jak to określił, „zimną wojnę”: *Myśli/osaczyły mnie/z każdej strony/aż trudno uwierzyć/że sam je zrodziłem*. Codzienność urasta w jego głowie do rangi rytuału (wiersze „Rytuał poranny”, „Rytuał wieczorny”). Dzięki celebryce prostych czynności, nawet takich jak picie herbaty czy jedzenie jabłka, poeta dochodzi do ciekawych wniosków filozoficznych. Odkrywa rządzący światem wariabilizm. Wszystko się zmienia nawet w ciągu tego samego dnia, nawet w ciągu jednej chwili światło załamuje się pod innym kątem. Każdy dzień umiera i rodzi się na nowo.

W tomiku znajdziemy też odwołania do Gombrowicza. Bowiem bohater tak intensywnie przygląda się wszystkiemu wokół, że jego uwadze nie ujdzie nasze codzienne udawanie: *„rano oddam kostium do wypożyczalni”* – mówi podmiot wiersza pt. „Rytuał wieczorny”. Jego spostrzeżenia dotyczą też naszego świadomego nakładania masek: *„jeszcze tylko żel na włosy/i „alles gut/ jutro.../będę sobą”* (wiersz pt. „Teatr”).

Moją uwagę zwróciły erotyki, ale nie dlatego, że jak to erotyki są wzruszające. Te utwory są zimne. Nie ma w nich żadnej interakcji. Bohater bardziej koncentruje się na własnych intelektualnych doznaniach niż na emocjach. Czytelnik nie wie nic o osobie, do której adresowane są wyznania miłosne. Nie wyczuwam w nich napięcia, a szkoda. Często się słyszy, że trudno napisać niebanalny wiersz miłosny. To prawda. Wiersze, które znalazłam w tomiku nie są „oklepane”, ale zbyt egocentryczne. Bohater szuka ukochanej osoby w filiżance kawy, za zastoną grubej kotary, na wzór Peipera dokonuje jej „urbanizacji”(„Urbanizacja Ciebie”) albo upaja się jej cichą obecnością („We śnie”) i nic z tego nie wynika. Ukochana osoba stoi w cieniu jego słów, a tęsknota jest tylko masochizmem.

Ostatnio popularne są prywatne zapiski, dzienniki, pamiętniki, jednak poetyckie medytacje codzienności Marcina Janochy są wyjątkowe. Rekomendują je: Krystyna Rodowska, Krystian Piwowarski i Stanisław Podobiński. Zdziwiał mnie ten dojrzały debiut w tak młodym wieku (autor urodził się w 1984 roku). Poza tym Marcin sam zaprojektował interesującą okładkę.

Wioletta Grzegorzewska



Marcin Janocha

penitent

istota poety

spowiedź
przed samym sobą
hektolitry wódki
papieros
odpalony z dwóch
stron

piętnaście tabletek
przepitych
tanim winem
za trzy czterdzieści

zbyt późno
odcięty od pępownicy
zbyt wcześnie
odcięty od przyszłości

z obserwacji

resztką światła latarni
opłata swym blaskiem
leniwe ulice
księżyc
wyciąga
swych wielbicieli
siłą z łóżek
na szybę
stopniowo
włazi mróz
rysując impresjonistyczne wzory
żałuzje zakurzone
nie chcą się obracać
w moim długopisie
od wypisywania
kolejnych bzdur
kończy się wkład
powoli od lektury
kolejnych poezji
tracę wzrok

mój mesjanizm

u mnie
ciernie rosną w doniczkach
a krzyż
wyrasta przy drodze
co dzień
plotę sobie koronę
i ranię swą skroń
codziennie

dolewam krople
do czary goryczy
by ją przepęfnąć
i cierpieć od nowa

czekam
niedzielnego poranka
by móc w glorii chwały
narodzić się
raz jeszcze

żarłoczny

przebijając zębami
skórę jabłka
powoli
zatapiam się
w soczystym miększu
drażę korytarze
wokół jego
pionowej osi
okrażam
zdrewniały ogonek
na pożarcie śmietnikowi
zostawiam
zgryziony do końca
ogryzek

jestem żarłocznym
adamem
który
wcześniej niż ewa
odkrył
owoc jabłoni

Wirtuoz

strzelam
kośćmi
jak
z rewolweru
prostuję
palce
układam je
w linie
równoległe
na pulpicie
Twego ciała
szukam nut
ale gram
z pamięci
symfonia
bez końca
na dwie ręce

dnieje

Tadeusz Gieremski



Przez długie wieki, tysiąclecia nawet, malarze malowali to, co widziały ich oczy. Mniej więcej od połowy XIX stulecia zaczęli malować swoje uczucia, potem też myśli. Malować myśli? Dlatego właśnie dzisiejsza plastyka dla przeciętnego odbiorcy jest tak trudna do pojęcia, niezrozumiała, bo wymagająca w odbiorze nie tylko oczu, ale i głowy. Tu nie wystarczy bierne gapienie się i wybrzydzenie.

* * *

Całkiem inny obraz. Żeby go zobaczyć należy pojechać autobusem nr 33 do końca, czyli dwa przystanki za Mirów. Iść brzegiem lasu, a po 200 metrach skręcić w lewo. Drożyna doprowadzi wnet do rozlewiska Warty. Siadasz, stoisz – nieważne. U stóp żółtawa woda. Za nią, w tejże barwie, wysoka trzcina, gęsta jak las tropikalny. Zajmuje dość duży obszar. Po drugiej stronie płynie Warta, stąd jej nie widać. Wokół ukojna cisza. W dzień powszedni ludzi tu prawie nie ma. Po tamtej stronie rzeki, na wznoszącym się zboczu – las. Na samym wierzchołku wzgórza czerwona plama. To dach jakiegoś samotnego zabudowania. Ale wróćmy do bliźniutkich trzcin. Od czasu do czasu lekki wiaterek porusza ich czubkami. Ta wodna gęstwina to prawdziwy azyl dla błotnego ptactwa. Co pewien czas słyszę gęganie dzikich gęsi, kaczek. Nagle dobiega mnie charakterystyczny, urywany głos bekasa. Więc i tu się ów rzadki ptak zagnieżdżył! Dźwięk podobny raczej do głosu wydawanego przez czworonożnego ssaka. Jak moim postrzępionym nerwom potrzebne są odgłosy natury! Szum deszczu, wiatru. Nawet grzmoty i błyskawice. Przyjemny lęk.

* * *

Na stare lata doszedłem do przekonania, że jedyną ideą, która może dobroczynnie promieniować na człowieka i wszystkie formy jego działalności (moralnej, politycznej, społecznej, gospodarczej, rodzinnej itp.) jest chrześcijaństwo. Liberalizm to ustrój dla aniołów, nie ludzi. Albo dla odległej przyszłości. Czyli liberalizm, lecz roztropnością, rozumem ograniczony. Kościół mówi w tym przypadku o Miłości. Lepsza naiwna miłość, niż rozpasane zło, sięgające zbrodni. Nie chodzi mi tu o prawdziwość wszystkich dogmatów religijnych. Np. istota Boga nawet dla naszego Papieża nie może być rozpoznawalna do końca. Nic lepszego i bardziej humanitarnego dotychczas nie wymyślono, jak solidaryzm społeczny.

W każdym dobrym wierszu musi być trochę szaleństwa.

* * *

Zły kochanek ma w sobie tyle dobrych chęci...

* * *

Bartek doczekał się w końcu promocji swego debiutanckiego tomiku poezji. Ta uroczystość (sala pełna) była dla mnie najprzyjemniejszą promocją, w jakiej uczestniczyłem w „Gaude Mater”. Poznałem Bartka przed dwoma laty. Wziąłem tego niepewnego, zmoczonego motyla do rąk, położyłem na dłoni, oddechem swym wysuszyłem mokre skrzydełka. Wreszcie dmuchnąłem poziomo i motyl poruwał w świat, ku górze. Patrę i widzę jak jego matka, rodzina, mnóstwo znajomych i nieznanym przeżywa tyle radości, satysfakcji! Dla pani Teresy (matki Bartka) to wielkie rodzinne święto, druga pierwsza komunija święta. Przez cały czas nie odrywa chusteczki od oczu. Moje oczy są bardziej suche – ale jedna (może już ostatnia?) łza pałęta się po oku. Narodził się w Częstochowie nowy poeta, nie wierszokleta, dla którego wartości humanitarne, chrześcijańskie stanowią jakość nadrzędną.

Jeszcze jedno dopowiedzenie. Ponieważ kilka zazdrosnych, rozhisteryzowanych babsztyłów uważało Bartka za fuszera i partacza poetyckiego, postanowiłem na promocji usunąć się w cień i oddać głos komuś innemu. Z roli omówienia poezji Bartka wywiązał się znakomicie Edmund Łągiewka. Wspomniane natomiast wyżej hetery i wierszokletki (w ich wierszach są rymy, lecz nie poezja) gratulowały Bartkowi i obsypywały go kwiatami. Ot, ludzka obfuda.

* * *

Stary człowiek idzie brzegiem morza. Nigdy nie walczył z wielką rybą. Szkielety swoich marzeń pozostawił na lądzie, w wielu miejscach, które kochał, a one go wykpiły.

Stary człowiek idzie wzdłuż Północnego Morza, jakby po krawędzi własnego życia. Idzie i marzy o pięknych krajach po drugiej stronie Oceanu, w których nigdy nie był i wie, że nie będzie. Marzy całym sobą: stopami, które liżą nadbiegające fale oraz głową, na której posiwiałe włosy rozwiewa morski wiatr. Wie, że te marzenia nigdy nie będą zrealizowane, że nie zostanie po nim nawet szkielet ogryzionego przez rekiny marlina.

Stary człowiek idzie dalej. Jest chudy, więc lekki. Zimny, świszczący wiatr chce go ściągnąć, obalić z wydmy na dół. Już nie mówi, tylko myśli: Nie trzeba wszystkiego poznawać, NAJPIĘKNIEJSZE JEST NIEPOZNANE.

ROZMOWY O SZTUCE

Z Markiem Perepeczko o teatrze i aktorstwie rozmawia Andrzej Kalinin.

Jest podobno taka prawidłowość, że ludzie związani z teatrem zawodowo, lub tylko emocjonalnie, swój flirt z Melpomeną zaczęli od szkolnych przedstawień. Tam podobno następuje pierwsze zauroczenie sceną, ową magią, która z rzeczy prostych, słów, gestów, mimiki czyni sztukę i teatr. Czy dziś ten stereotyp jest jeszcze aktualny?

Sądzę, że tak. Tam, gdzie w szkołach działają teatrzyki historia będzie się powtarzać. Zamiłowanie do teatru z nich bierze swój początek. A gdy zdarzy się jeszcze, że w szkole jest nauczyciel-pasjonat, któremu chce się z młodzieżą robić przedstawienia teatralne, to wtedy śmiało możemy mówić o pierwszej, tej podstawowej szkole kultury słowa, bycia i wrażliwości na sztukę w sensie ogólnym i uniwersalnym. Kim potem w kulturze jesteśmy jest jedynie konsekwencją tych pierwszych literackich, kulturalnych i teatralnych fascynacji.

Mówię o tym z takim przekonaniem, bo wiem jestem tego wymownym przykładem. Miałem szczęście, że jeszcze w podstawówce spotkałem nauczycielkę, rozkochaną w poezji, teatrze i muzyce. To była pani Dobrowolska, koleżanka mojej mamy, człowiek zakochany we wszystkich sztukach pięknych, ale w teatrze najbardziej. Właściwie dzięki niej, jestem dzisiaj aktorem. W jej to bowiem szkolnym teatrzyku zadebiutowałem, no, już dość dawno temu. Ile wtedy miałem lat? Ho, ho, Jędrus, zaczekaj. Chyba trzynaście, może czternaście, ale byłem już chłopcem wyrastającym ponad swoich rówieśników i może dlatego pani Dobrowolska dała mi rolę, którą zazwyczaj w dorosłych teatrach aktorzy-weterani żegnają się ze swoją publicznością. U mnie rzecz miała się odwrotnie. Ja zadebiutowałem rolą Cześnika z „Zemsty” Aleksandra Fredry i nią właśnie zacząłem swoje teatralne życie. Pewnie dlatego tamten szkolny spektakl i tamten szkolny teatrzyk pamiętam do dziś. Przeżycia i ekscytacje z nim związane było wprost niesamowite, bowiem pani Dobrowolska robiła bowiem swój teatr bez żadnej taryfy ulgowej. Żadne tam bajeczki dla młodzieży szkolnej, żadne zbiorowe recytacje, a przedstawienia od razu ambitne, oparte na dobrej literaturze i prawdziwym zaangażowaniu. Chciała, żeby ten jej teatr był wielki i powszechny. I był. Potrafiła

wciągnąć w przygotowanie spektakli naszych rodziców, a także babcie, ciocie nauczycieli i dyrekcję szkoły. Wszyscy oni przygotowywali kostiumy, dekoracje, efekty akustyczne i inne konieczne rekwizyty związane z widowiskiem. Nasz teatr był taki wspaniały, bo był wspólny i bliski sercu.

Urok takich szkolnych teatrów polega jeszcze na daleko posuniętej umowności. Żaden zawodowy teatr na taką dowolność nie mógłby sobie pozwolić. Pamiętam, że ja swojego Cześnika grałem wtedy w kostiumie, uważaj; wypożyczonym z operetki warszawskiej. Garderobiany w tym teatrze był znajomym jednego z naszych rodziców, więc sprawę szybko załatwiono. Dostałem biały mundur rotmistrza huzarów, a do tego paradne, austriackie czako na głowę. Kurtka była trochę za duża, a zamiast karabeli wystawał spod niej sięgający samej ziemi masywny rapier, czy szpada, nieważne. Najważniejsza była zabawa w teatr i to dla obydwu stron: młodych aktorów na scenie i serdecznej dla nich widowni. Teatr właśnie taki powinien być, że aktorzy opowiadają jakąś historię, a widzowie wierzą, że tak mogło być naprawdę. Na tym właśnie polega owa niezwykła magia teatru.

Po wielu latach bycia na scenie mogę z całym przekonaniem stwierdzić, że nigdy w żadnym dorosłym teatrze nie spotka się tak idealnej symbiozy artystów i widzów, jak właśnie w teatrzykach szkolnych. Tu bowiem tremę przeżywają wszyscy; ci na scenie i ci na widowni, bo przecież razem ten spektakl stworzyli.

Ja tę swoją pierwszą aktorską tremę z tamtego szkolnego teatru pamiętam do dziś. Była ogromna. Tak sobie teraz myślę, że wytrzymać ją mógł tylko młody organizm. Żaden starszy człowiek nie potrafiłby jej unieść. Wiem, co mówię, bo mam przecież za sobą trochę aktorskich lat.

W dniu premiery naszego teatrzyku salę gimnastyczną szkoły do ostatniego miejsca



fot. Piotr Dłubak

wypełnili nasi rodzice, babcie, ciocie, sąsiedzi, koledzy szkolni. Pani Dobrowolska stała za kulisami i miała wypieki na policzkach. „Żeby się tylko udało” – mówiła do siebie. „Udało się oczywiście, bo takie serdeczne i spontaniczne przedstawienia, bez udziwnień, nadinterpretacji i zawodowej sztampy, zawsze kończą się sukcesem. Publiczność biła nam brawa na stojąco, zachwycona naszą naturalnością, ale i faktem, że po trosze dogadaliśmy ich rodzicielskim ambicjom i być może własnym, niespełnionym, artystycznym marzeniom.

To było piękne przedstawienie, mówię ci, Jędrzek. Popatrz, tyle lat przeleciało, tyle innych ważnych ról grałem potem w teatrach i filmach, a mimo to wciąż z rozrzewnieniem wspominam tamto moje pierwsze przedstawienie w roli fredrowskiego Cześnika. Żałuję tylko, że ani jedno zdjęcie fotograficzne nie przechowało się z tamtej premiery, choć na widowni bez przerwy pstrykały różne radzieckie Zorki i ernerdowskie Zenity.

Opowiadam ci o tym szkolnym przedstawieniu jeszcze z innego, moim zdaniem bardzo ważnego, powodu. Otóż warto chyba przypomnieć niektórym nauczycielom, humanistom, a przede wszystkim rodzicom, jakie ogromne walory wychowawcze mają szkolne teatry. Jak uczą piękna w życiu i byciu, jak czynią nasze dzieci lepszymi, inteligentniejszymi i bardziej wrażliwymi na ludzi i sprawy otaczającego nas świata. Są również znakomitym inspiратorem porozumienia między młodzieżą, rodzicami a szkołą, co w dzisiejszych czasach upadku autorytetów jest niebagatelnym czynnikiem wychowawczym. Teatr szkolny to oczywiście zabawa w teatr. Ale jaka zabawa! Intelkualna, twórcza, kształtująca młode charaktery. Jest to także wielka lekcja współistnienia różnych charakterów i jednocześnie indywidualnego udziału w kulturze.

Mówię o tym wszystkim często na spotkaniach z młodzieżą w szkołach. Namawiam: „Twórcie własne teatry szkolne. Niekoniecznie musicie być potem aktorami, ale wszyscy będziecie kochać teatr, a to pomaga piękniej i mądrzej żyć”.

Twoje wypowiedzi, Marku, odnoszą się głównie do teatryków szkolnych, a przecież w Polsce istniały również teatry amatorskie. Szczególnie w małych miasteczkach, w remizach strażackich, przy kościołach. Tam, gdzie nie docierały teatry zawodowe, ludzie sami tworzyli sobie teatry. Ja też kiedyś grałem w takim, w moim powia-

towym Jędrzejowie. Dzisiaj jakby to wszystko umarło. Zapatrzyliśmy się w telewizory i kasety wideo.

Tak, to prawda. A mamy przecież w Polsce znakomite tradycje teatrów amatorskich, zaczynając od sławnego przemyskiego „Fredreum”. Dzisiaj zaszkodziła im trochę telewizja i objazdowe grupy aktorskie, takie dwu-, trzyosobowe teatry z popularnymi aktorami, które docierają niemal do każdej miejscowości w kraju. Dlatego znikły gdzieś te bardzo pozytywne i piękne teatry amatorskie. Nie ma nawet kolędników z jasełkami w okresie świąt Bożego Narodzenia, a przecież to też był teatr i to niezwykły. Do normalnego bowiem teatru widzowie przychodzą sami, a tutaj odwrotnie – teatr przychodzi do widzów, wprost do ich domów z inscenizacją o narodzeniu Pana. Myślę, że to kiedyś znowu odżyje. Niektórym ludziom, szczególnie tym z niespokojnym duchem znudzi się w końcu takie bierne z pozycji widza uczestniczenie w kulturze i zaczną tworzyć ją sami poprzez choćby zabawę w teatr. Są już tego oznaki. Na niektórych uczelniach działają znowu teatryki studenckie. Teatry obrzędowe, związane z folklorem, działają przy Kołach Gospodyń Wiejskich, a także w szkołach, gdzie wychowanie poprzez sztukę staje się ważniejsze nawet niżli nauka podrechnikowa.

W naszym częstochowskim Teatrze staramy się pomagać nauczycielom w tej misji. Zapraszamy do nas na spektakle, służymy pomocą w doborze repertuaru, instruktażem, w miarę możliwości kostiumami. Tym działaniem wychowujemy też sobie przyszłych widzów. Bo czym – powiadają – skorupka za młodu...

Tak, to prawda. Ale cały czas mówimy o szkole, a jakie znaczenie ma w tej kulturalnej edukacji dom rodzinny?

Ogromne. Wiem to po sobie. W moim domu rodzinnym panowała właśnie atmosfera atencji dla sztuki. Ojciec uwielbiał operę i oglądanie wystaw plastycznych, a poza tym pasjami czytał książki; bez wyboru, bez umiaru, byle drukowane.

Ile ja wtedy miałem lat? Pięć chyba, kiedy z nim za rękę poszedłem pierwszy raz do „Zachęty” na wernisaż malarstwa. Oglądałem prezentowane tam obrazy oniemiały z zachwytu i z otwartą po dziecinnemu buzią. Takie pierwsze fascynacje sztuką zostają potem w pamięci na zawsze. Przynajmniej w moim przypadku tak właśnie jest. Pierwsze spotkanie z operą i wielkim Bernardem Ładyszem zdarzyło mi się

również w dzieciństwie. Ojciec zabrał mnie do opery mieszczącej się wtedy w jedynej ocalałej z powstania warszawskiego sali „Roma”, gdzie wystawiano „Fausta” Gounoda. W drugim akcie jako Mefisto wystąpił Bernard Ładysz i jak huknął na całą salę tym swoim unikalnym, przepięknym basem słynną arię śmiechu, to wtedy aż przeszły mnie ciarki jakiegoś przecudownego artystycznego wzruszenia. Do dzisiaj zresztą ilekroć mam do czynienia z prawdziwie wielką sztuką, to zawsze doznaję podobnego uczucia. Młody człowiek pewnych spraw nie dostrzega lub je bagatelizuje, jest zafascynowany chwilą i nowościami, jakie codziennie niesie mu życie. Dopiero z perspektywy czasu stają się one oczywiste. Dla mnie jest więc jasne, że kultura domu rodzinnego wywiera ogromny wpływ na przyszłe nasze zachowania, wrażliwość i również na estetyczne zachowania w życiu.

Muszę ci się przyznać, że w czasach wczesnej młodości nie marzyłem o aktorstwie. Chciałem po maturze studiować prawo albo polonistykę. Ciągnęło mnie do literatury i innych sztuk pięknych, to prawda, ale żeby zaraz myśleć o aktorstwie w sensie przyszłego zawodu, to nie, absolutnie nie.

W liceum mieliśmy, rzecz jasna, nasz szkolny kabarecik, w którym wyżywaliśmy się artystycznie, a opiekowały się nim nasze polonistki – panie Strzeszewska i Nyrkowska. Im to głównie zawdzięczam, że zostałem zawodowym aktorem. W trakcie bowiem zdawania matury, kiedy jeszcze nie wiadomo było czy ją w ogóle zdałem, obie te panie podjęły za mnie decyzję.

„Ty, Marku” – powiedziały – „złożysz papiery na Miodową do szkoły aktorskiej. Tam i nie gdzie indziej, rozumiesz?” Pani Strzeszewska miała w naszej szkole mir wielki, szczególnie u uczniów o predyspozycjach intelektualnych. Ona to właśnie organizowała nam pozalekcyjne i prawie konspiracyjne zajęcia z logiki na przykład albo z propedeutyki filozofii. Dowiadaliśmy się tam o sprawach wręcz szokujących nas wtedy. Okazywało się bowiem, że ludzkość od tysięcy już lat miała swoje zasady i spojrzenie na otaczający świat, zupełnie inny niż w obowiązujących w tamtych latach socjalistycznych programach edukacyjnych.

Ta właśnie pani profesor zaraz po maturze wręczyła mi kopertę z dokumentami i kazała zawieźć na Miodową. Niebawem, bo jeszcze przed wakacjami, stanąłem przed Wysoką Ko-

misją Egzaminacyjną, w której aż roilo się od wielkich sław polskiego kina i teatru.

Dzisiaj, kiedy opowiadam o tamtym egzaminie, myślę sobie, że jest zrozumiałe, iż wtedy nie dostałem się do tej szkoły, ponieważ na I rok startowało wówczas wiele późniejszych wielkich sław aktorskich, że wspomnę tylko Janka Englerta, późniejszego rektora tej wspaniałej uczelni, a ilość miejsc była ograniczona.

W moim przypadku doszła jeszcze młodzińska pycha i nonszalancja typu: „Co, ja się nie dostanę?” Rozumiesz? Byłem chłopakiem wysokim, w szkole faworyzowanym ze względu na zdolności aktorskie, więc zdawało mi się, że ten egzamin to małe piwko przed śniadaniem, jak mawia pewien mój teatralny kolega. No i utarto mi nosa.

Przez rok czekałem na kolejną szansę, bo wtedy już się uparłem i postanowiłem, że mimo wszystko zostanę aktorem. Pomógł mi w tym pewien przypadek. Otóż rodziła się wtedy Polska Telewizja. Wszystko w niej szło na żywo: teatr, reportaże i transmisje z koncertów. Nikt niczego wcześniej nie nagrywał, bo nie było takiej jak dziś techniki. Oglądalność tamtej telewizji była wprost oszałamiająca. Nadawano bowiem tylko jeden program i chociaż wyłącznie czarno-biały, to oglądała go cała Polska. Zaś osoby pokazywane na szklanych ekranach miały wymiar bożków. I mnie, wyobraź sobie, udało się do tej telewizji dostać.

A było to tak. Andrzej Konic, znakomity aktor i reżyser, prowadził w telewizji cykliczną audycję pt. „Studio poetyckie”. Recytowały tam wiersze tzw. postępowych poetów świata, takie późniejsze sławy aktorskie jak Daniel Olbrychski, Magda Zawadzka, czy wspomniany już wyżej Janek Englert. A razem z nimi występowałem również ja, Marek Perepeczko.

To był piękny czas, Jędrku. Czas młodości, gdzie każde nowe doświadczenie artystyczne miało wymiar osobistego szczęścia. Brzmi to teraz trochę patetycznie, ale gdy się ma dwadzieścia lat... Sam pewnie pamiętasz.

Nie sądzisz, że w tamtych latach, dzisiaj trochę wyśmiewanych, inaczej odbierało się sztukę? Z jakimś, powiedziałbym nabożeństwem, szacunkiem dla wartości wyższych i niezbędnych dla normalnego, uczciwego życia. Mówię o tym dlatego, że dzisiejsze media zalewają nas łatwizną artystyczną i wszechobecną szmirą najczęściej importowaną z Zachodu. Tego typu niewybredne produkcje szczególnie bezwzględnie działają na umysły i charaktery młodych ludzi. Tępią ich wrażli-

wość, wypaczają dobry smak, pozbawiają poczucia piękna. Jeśli naszej młodzieży nie zdołamy namówić do autentycznego uczestniczenia w sztuce, do jej współtworzenia już na etapie szkoły czy później w amatorskich ruchach artystycznych, to wszyscy utracimy coś bezpowrotnie.

Ale wracając do teatrów szkolnych. W mojej Warszawskiej Akademii Teatralnej, do której dostałem się jednak, tyle że z rocznym opóźnieniem, oczywiście też był teatr. Uczyliśmy się przecież aktorstwa, więc teatr był tu zaczynem pierwszym.

Na egzaminie wstępnym miałem co prawda trochę kłopotów z odtańczeniem solo mazura, ale szanowna komisja z Janem Kreczmarem i Ryszardą Hanin, jakoś mi tę próbę uznała. Wróciłem do domu szczęśliwy, a tu oprócz gratulacji czekała na mnie okrutna kara. Wcześniej bowiem założyłem się z dwoma kolegami z mojej kamienicy, że jeśli pomyślnie zdam egzamin, to zgołę głowę na zero. Obaj moi kumple, bracia Urbanowie, czekali już na mnie przed domem. Nie było rady. Słowo się rzekło, kobyłka u płota. „Prosimy brzytwą ogolić go do samej skóry” – w sposób bezlitosny rozkazali fryzjerowi.

Jak ja potem wyglądałem, Jędrak. Tylko się zastrzelić. Dzisiaj taka „fryzura” jest oznaką mody, ale wtedy ogolona na zero głowa oznaczała jedynie kryminalistę zbiegłego z więzienia albo rekruta na przepustce. Moją tragedię w tym względzie potęgował jeszcze fakt, że właśnie wtedy poznałem swoją narzeczoną, prześliczną dziewczynę, i wcześniej nim mnie ogolono umówiłem się z nią na kolację u jej rodziców. Trzeba było widzieć minę mojej przyszłej teściowej, kiedy w drzwiach swojego domu zobaczyła nagle wysokiego ponad miarę i ogolonego na zero faceta. Wahana się chwilę nim poprosiła mnie do środka.

Moim rodzicom szybko wytłumaczyłem powód swojej łysiny. Zrozumieli, pokiwali głowami, a ojciec nawet był dumny z faktu, że potrafię dotrzymać przyrzeczeń. Rodzinę zresztą miałem wspaniałą, życzliwą, serdeczną. Nigdy nie było tu kłótni ani żadnych konfliktów. Wszyscy sobie nawzajem życzyli dobrze i tę zasadę spełniali. Nie byłoby może w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że całe nasze życie rodzinne toczyło się na powierzchni 38 m², a w takich warunkach o nerwy i spory wcale nietrudno.

A jaka wtedy była młodzież? Odpowiedź jest prosta. Taka sama jak dzisiaj. To znaczy

wspaniała, wyjąwszy oczywiście wszystkich kretynów, debili, nierobów, cwaniaczków, kombinatorów, którzy są teraz i byli zawsze.

A swoją drogą, Jędrusiu, chyba obaj zaufajemy, że nie mamy już po dwadzieścia lat. Obecne pokolenie młodzieży, żyje bowiem w czasach szczególnie wspaniałych. Mogą sobie jeździć po świecie, mają do dyspozycji te wszystkie elektroniczne i medialne cuda, o których myśmy nawet nie słyszeli. Niektórzy w tym wszystkim gubią się nawet, łatwiznę uznają za sukces, prymityw za wartościowe dzieło. Dlatego tak ważna jest edukacja kulturalna dzieci i młodzieży. Na to nie powinno brakować ani chęci ani środków.

Bo jak powiedział kiedyś jeden mędrzec: „Taka będzie Rzeczpospolita jak jej młodzieży chowanie”.

Apokalipsa – nowy spektakl teatru A

Wielu z nas miało okazję zobaczyć muzyczne spektakle gliwickiego Teatru A, które są inspirowane motywami biblijnymi. Świadczą o tym już ich tytuły: „Jonasz”, „Tobiasz” i „Pieśń nad Pieśniami”, „Pastorałka”, „Pasja”, „Benedicti”. Teatr zrealizował też „Bajkę o Smoku Kubie”, liczne nagrania telewizyjne, m.in. teledyski, a także jeden spektakl dla teatru telewizji pt. „Powroty”. Najnowsza premiera – „Apokalipsa” – odbyła się w maju tego roku. Inicjatorem teatru, autorem scenariuszy, reżyserem, a przede wszystkim mózgiem i duszą wszystkich przedsięwzięć grupy jest Mariusz Kozubek, z którym rozmawia ks. Grzegorz Ułamek.

Działacie od roku 1996. Jakie były początki waszego teatru? Czy był jakiś punkt przełomowy w Twoim życiu, który zadecydował o zajęciu się teatrem?

Nie wiedziałem wtedy, że to jest punkt przełomowy. Cały czas szukałem możliwości. Obserwuję, że trwa to sześć lat i jednak kogoś interesuje, ktoś przychodzi na spektakle. Sześć lat temu wiedziałem, że trzeba szukać swego miejsca w życiu, że to miejsce musi ono być w zgodzie z powołaniem. A moje powołanie to tęsknota do robienia teatru biblijnego. Ma to być teatr, który z jednej strony jest wspólnotą, a z drugiej świadectwem życia, teatr, w którym można szukać Pana Boga i próbować go dotykać. Te trzy tęsknoty ciągle mi towarzyszą.

Sześć lat temu spróbowałem założyć teatr w Katolickim Centrum Edukacji Młodzieży „Ka-

na” w Gliwicach. Dyrektor „Kany” powiedział wtedy: „Macie sprzęt, salę... Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Pieniądzy na to nie mam”. To nam nie przeszkadzało, a było przychylnością. Ktoś nam zagwarantował to, co jest w takiej robocie ważne, czyli miejsce, gdzie ludzie mogą się spotykać i pracować. To dało nam też poczucie jakiejś przynależności w Kościele. Sześć lat temu rozpoczęliśmy działalność od prowadzenia w „Kanie” warsztatów teatralno-muzycznych. Prowadzimy je do dziś. Jako teatr jesteśmy już niezależni, gdyż Biskup Gliwicki użył nam budynku w Zabrze-Biskupicach.

Dlaczego wasz teatr nazywa się „A”?

Różnie to można tłumaczyć. Teraz mówimy, że „A” od nowego spektaklu pt. „Apokalipsa”. Ale tak naprawdę to chodziło o „A” pochodzące od greckiego słowa „anamnesis”, czyli uobecnienie tajemnicy. Tak rozumiem teatr, że jest to miejsce uobecniania tajemnicy, czyli mówiąc wprost uobecniania Boga. Wierzę, że to jest możliwe. Tak czuję. Swój najnowszy spektaklem chcieliśmy to wyrazić. W tym spektaklu przeżywam pewnego rodzaju spełnienie. Od kilku dni chodzę na jakimś religijnym „hajju”. Dla nas ten spektakl jest przełomowy, bo u nas dzieje się coś ważnego. Po raz pierwszy tak wprost mówimy przekazem ewangelicznym. Nie zakręcamy go. Konwencje humorystyczne, których używaliśmy „poszły na drzewo”. Mówimy o Bogu wprost.

Apokalipsa jest trudna w czytaniu, zrozumieniu... Czemu akurat ta księga?

– Wszyscy księża nam mówili, że to trudna sprawa. To na pewno jest „wyścig z motyką na słońce”. Czasem sobie też myślę, że Pan Bóg się chyba z nas nieźle śmieje, widząc co wyprawiamy na scenie, jak ten tekst rozumiemy. Muszę się przyznać, że podczas pisania scenariusza wcale nie polegałem na tym co ja widzę w tym tekście. Czytałem literaturę naukową i tylko taką, która miała „imprimatur” Kościoła. Oczywiście sami musimy stanąć za tym tekstem. Trzeba zatem wciągnąć w spektakl nasze doświadczenia, wrażliwość. Niektóre pomysły wynikały z naszej interpretacji tekstu. Chodzi zwłaszcza o czytanie znaków czasu, które Pan Jezus pozwolił nam odkrywać. Apokalipsa mówi, że nie są to słowa do szuflady. Jest w niej zawarte bardzo ważne polecenie, żeby „nie kłaść pieczęci na słowa tej księgi”. Apokalipsa otwiera nas na przyszłość i jednocześnie tłumaczy teraźniejszość i przeszłość. Zastosowaliśmy klucz interpretacyjny publicystyczno-histeryczno-dokumentalny. Odczytujemy w tek-

ście Apokalipsy wydarzenia, które znamy z historii i te, które są newsami z telewizji.

Czy dlatego w waszym spektaklu wykorzystujecie kilkanaście telewizorów...?

Telewizor i jego obrazy są po to, żeby skomentować to, co się dzieje na scenie. Nie chciałem, aby widz siedział na spektaklu jak na ładnym widowisku, ale by realnie poczuł, że żyjemy w czasach ostatecznych. Tekst Apokalipsy jest symboliczny i w teatrze też można go było potraktować symbolicznie. Z tego mogła wynikać jakość estetyczno-artystyczna, ale to za mało. Szkoda czasu na robienie teatru, w którym chodziłoby tylko o sprawy artystyczne.

Komentarz publicystyczny z telewizorów jest po to, żeby ludzi przekonać, że od wniebowstąpienia Jezusa żyjemy w czasach apokaliptycznych.

Kogo z poza „teatru A” zaprosiłeś do pracy nad tym spektaklem?

Do naszej stałej grupy teatralnej i współpracujących muzyków został zaproszony Adam Moniewski, absolwent łódzkiej filmówki, którego poznałem kiedyś podczas rekolekcji teatralnych. W spektaklu gra św. Jana Apostoła, który jest zwornikiem całego obrazu i jednocześnie prowadzi widza w tej rzeczywistości pomiędzy niebem a ziemią. Spektakl współtworzy z nami chór „Resonans con tutti” z Zabrze i kwartet smyczkowy „Altra volta”. Gościnnie występuje też Artur Wąsowski z teatru „Saruel”

Jak wygląda Twoja praca nad scenariuszem i spektaklem?

Zaczyna się od tego, że któryś tekst biblijny jest dla mnie ważny. Po drugie muszę w tym tekście znaleźć jakąś stricte teatralną możliwość realizacji. To także kwestia pieniędzy i ludzi. Potem zastanawiam się jaką formę użyć. Forma teatralna rodzi się z prywatnego czytania Pisma Świętego. Mam swoją własną wizję i w naszych produkcjach ponoszę za nią odpowiedzialność jako reżyser, inscenizator, trochę choreograf i kompozytor. Ten teatr jest autorski, czyli w każdym calu musimy myśleć o wszystkim. Trzeba napisać muzykę, zrobić choreografię, kostiumy. Muszę we wszystkich etapach tej produkcji uczestniczyć i wszystkiego dopilnować. Oczywiście często daję się porwać cudzym wizjom. Mnóstwo pomysłów rodzi się na próbach. Później ktoś to rozpisuje na nuty, robi aranżację, choreografię. Oczywiście wszystkie pomysły trzeba wielokrotnie testować, czyli sprawdzać czy wszystko „try-

bi". Ewentualnie trzeba coś zmienić. To są puzzle, które muszą się złożyć. Przejrzystość formy, ikony, którą malujemy otwiera serca ludzi na Pana Boga. Jeżeli tak się dzieje, to zwyciężamy.

Czy Bogu i Kościołowi jest potrzebny teatr?

Myślę, że do czegoś jest potrzebny. Człowiekowi jest dana pewna kreatywność. Kiedy jesteśmy twórcami, to jesteśmy w pewien sposób podobni do Pana Boga. Panu Bogu potrzebne są działania, które porządkują zło i grzech. Takim stanem jest przede wszystkim miłość. Świat jest także trochę zbawiany przez piękno. Świat przez piękno staje się lepszy. Teatr ma przynajmniej ocierać się o piękno, dobro, prawdę. Z Panem Bogiem współdziałamy w dochodzeniu do nieba.

Pewnie dużo kosztuje robienie tak rozbudowanego teatru?

W naszym teatrze jest wszystko, co można sobie wymarzyć: balet, muzycy, wokaliści, świątła... Nie jesteśmy w stanie robić tego w oderwaniu od pieniędzy. Ludzie, którzy tu pracują są świetni i kochani, ale jeżeli z teatru żyją i chcemy z nimi dalej pracować, to musimy im płacić. Myślę, że to jest sprawiedliwe i ewan-

geliczne. Na etacie mamy sześć osób. To dużo na teatr, który gra kilka spektakli w miesiącu. Oczywiście pieniądze trzeba odkładać na kolejne premiery, a także na żarówki, kable, sprzęt.

To wasza ósma premiera, a ile zagraliście wszystkich spektakli?

Jestem kiepski w cyferki, ale ktoś to próbował liczyć w pracy magisterskiej o naszym teatrze. Odpowiem tak: między 300 a 500.

W ubiegłym roku była u was na warsztatach grupa młodych ludzi, czy w te wakacje planujecie takie zajęcia?

Jeżeli ktoś chce do nas przyjechać i powie, że ma grupę 15 osób, to odpowiemy: „przyjeżdżajcie!” Osoby, które chcą się uczyć teatru i korzystać z naszych doświadczeń prosimy o kontakt.

Czy będzie można was oglądać w Polsce?

Czekamy na zaproszenia. Przyjedziemy na pewno. Można do nas dzwonić (032 2326857) i pisać: teatr@teatr-a.art.pl. Zapraszamy także na naszą stronę internetową: www.apokalipsa.org

Życzę dalszych sukcesów i dziękuję za rozmowę.



Sztuka filmowa i sztuka robienia pieniędzy

Dziś już nikogo nie obchodzi sztuka, za to wszystkim zależy na pieniądzach.

Złowrogi znak czasu; artyści stali się zaledwie trybikami w maszynie wielkiego biznesu, który unicestwił prawdziwą sztukę i jej odwieczne wartości, a wykreował ZYSK jako wartość absolutną. Jeszcze piętnaście – dwadzieścia lat temu zjawisko to nie miało tak totalnego i globalnego wymiaru jak dziś, kiedy to np. na scenie muzycznej święci triumfy Michał Wiśniewski – chudy showman, który doprowadził biznes dźwiękowy w Polsce do niespotykanych wyżyn, cofając jednocześnie sztukę muzycznowokalną do czasów Neandertalu. Oczywiście, czerwonowłosa Wiśniewski przeminie jak każda krótka namiętność, której ulegają masy i media, pojawi się kolejny egzemplarz Wiśniewskiego i następny... O obecności Wiśniewskich na tej planecie świadczyć będą jedynie płyty CD po 2 zł sztuka, zalegające w koszarach hipermarketów. Natomiast tego rodzaju zjawisko odsysania wartości z kultury, staje się szczególnie dramatyczne tam, gdzie mamy, **lub możemy mieć**, do czynienia z kulturą wysoką. Choćby w kinie.

W krytycznym obiegu środowisk intelektualnych, w mniejszym stopniu w obiegu powszechnym, funkcjonuje termin „holocaustbusiness”, czyli wyciskanie forsy z tematu zagłady Żydów podczas II wojny światowej. Ten proceder jest szczególnie wyraźny w literaturze i filmie właśnie. Trafiłam ostatnio w powieści E. Jong: „Pamięć dopisze”*, na niezwykle celne powiedzenie: „There’s no business like shoah business”, co jest wymowną, nie wymagającą komentarza, parafrazą słów piosenki z niezapomnianego filmu „Kabaret” B. Fosse: „There’s no business like show business” (nie ma lepszego interesu, niż interes rozrywkowy).

Najnowszy film Romana Polańskiego jest przykładem produkcji z gatunku holocaustbusiness. Cztery Oscary, które otrzymał, mają zaświadczyć, że oto Polański stworzył arcydzieło. Oscary już od dawna przestały być miarą wartości artystycznych filmu, żeby przypomnieć tylko cikliwy „Titanic”, czy banalny „Piękny umysł”, natomiast zawsze były rekompensatą za władowanie ciężkiej forsy w produkcję, wszak poniesione nakłady muszą się wielokrotnie zwrócić.

Uważam, że „Pianiście” daleko do arcydzieła. Jest to tylko dobra ekranizacja wojennych wspomnień Władysława Szpilmana i nic ponad to. Mogłaby być nawet lepszą, gdyby reżyser podszedł do tematu z większą dbało-

ścią i zdecydował się np. na polski dubbing, bo rzecz dzieje się przecież w Warszawie i kwestie podawane w języku angielskim są ewidentnie nie na miejscu, rażą i śmieszają, przynajmniej mnie. Film Polańskiego jest dobry, podobnie jak wiele innych z tego nurtu, że wymienię choćby nieoskarowe: „Europa, Europa” Agnieszki Holland, czy „Daleko od okna” Jana Jakuba Koloskiego, ale na pewno nie jest dziełem wybitnym, nie wnosi bowiem do sztuki filmowej niczego oryginalnego ani w swej treści, ani w formie. Mamy przecież w pamięci kontrowersyjny film Roberto Benigniego „Życie jest piękne”, w którym reżyser przedstawił temat zagłady Żydów w sposób absolutnie nowatorski i ryzykowny, bo za pomocą środków typowych dla komedii, nie wyłączając gagów rodem z burleski. Wszak sztuka, w tym filmowa, to również przekraczanie gatunkowych i myślowych granic.

To, co nie udało się Polańskiemu, bez trudu osiągnął czeski reżyser, Jan Hřebejk. Zrealizował on w 2000 roku znakomity, wprost rewelacyjny film, pod tytułem „Musimy sobie pomagać”, który można było obejrzeć w nieocenyonym OKF-ie. O ile „Pianista” to moduł filmowy, wyprodukowany przez hollywoodzką taśmę, którą kiedyś ośmieszył wielki Chaplin w „Dzisiejszych czasach”, to „Musimy sobie pomagać” jest swoistym, inspirującym myślowo i wizualnie niezależnym, nowatorskim dziełem sztuki filmowej. Film Hřebejka to genialnie wyważony komediodramat zrealizowany z polotem i dowcipem, rewelacyjnie zagrany (Boleslav Polivka, Jaroslav Dušek), ze znakomitą muzyką Aleša Březiny. Pomimo niezależności wartości Oscara nie otrzymał, choć trzeba przyznać, że był jednym z pięciu filmów nominowanych. W Polsce przeszedł niezauważony.

Tak więc „Musimy sobie pomagać” to sztuka, a „Pianista” jest przedsięwzięciem finansowym. Roman Polański był kiedyś artystą („Nóż w wodzie”, „Matnia”, „Wstręt”, „Lokator”), jednak w połowie lat osiemdziesiątych ewidentnie obniżył loty. Być może przestała go interesować sztuka. Faktem jest, że dziś, z biznesmem Lwem Rywinem, robi pieniądze.

Halina Piwowarska

* Erica Jong: „Pamięć dopisze”, Zysk i S-ka, Poznań, 2001, (oryginalne wydanie w 1997 r.)



ZBIGNIEW ALEKSANDER PINDERAK

- PORTRET Z OPERĄ W TLE

Zbigniewa Aleksandra Pinderaka, częstochowianina mieszkającego od kilku lat w Austrii, publiczność naszego miasta zdążyła już poznać jako znakomitego tenora. Przede wszystkim podczas ostatnich Akademickich Spotkań Muzycznych „Usta milczą, dusza śpiewa...” w listopadzie roku 2002, kiedy wystąpił wraz z takimi wykonawcami, jak Katarzyna Suska-Zagórska, Piotr Lempa i chór Politechniki Częstochowskiej „Collegium Cantorum”. Zaprezentował wówczas szeroki wachlarz swoich możliwości, zarówno w zakresie klasycznego repertuaru operetkowego jak muzyki współczesnej.

Pochodzi z muzycznej rodziny. Jego rodzice, Aleksandra i Kazimierz, poznali się w chórze „Dzwon” w Częstochowie. Aleksandra śpiewała potem w zespole „Domifonia”, prowadzonym przez Władysława Leszczyńskiego. Kazimierz przez 25 lat związany był z chórem „Pochodnia”, z którym zwiedził sporą część świata. Siostra Zbyszka, Jolanta Pinderak-Bielicka uczęszczała do szkoły muzycznej, początkowo w Częstochowie, potem w Łodzi. W Łodzi też studiowała, najpierw na wokalistyce, następnie ukończyła wychowanie muzyczne łącznie z dyrygenturą. Od trzech lat jest dyrygentem chóru „Pochodnia”, w przyszłym roku skończy studia podyplomowe w zakresie dyrygentury w Warszawie. Brat Andrzej ukończył wychowanie muzyczne w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie, jest pianistą.

Zbigniew Pinderak urodził się w roku 1969. Zarówno kultura muzyczna rodziny jak i jego własne predyspozycje zdecydowały o tym, że podjął naukę w szkole muzycznej w Częstochowie, gdzie zdobył dyplom w klasie gitary, a potem studia wokalne w Akademii Muzycznej w Łodzi. (Dla tych, którzy wierzą w przeznaczenie, przytaczam opowieść rodzinną, według której matka Zbyszka, będąc w ciąży, poczuła pierwsze ruchy dziecka w trakcie konkursu pieśni zaangażowanej w Katowicach – tak więc syn nie mógł nie zostać muzykiem).

W roku 1990 przeniósł się do Drezna, gdzie kontynuował studia w Wyższej Szkole Muzycznej Carla Marii von Webera; skończył je

egzaminami dyplomowymi z wyróżnieniem w zakresie śpiewu solowego – operowego i koncertowego. Jeszcze w trakcie studiów współpracował z operą drezdeńską. Rok 1996 wyznaczył kolejny, wiedeński rozdział w jego życiu: rozpoczął pracę w Wiedeńskiej Operze Państwowej (Wiener Staatsoper), a od roku 1998 – śpiewanie w Dworskiej Kaplicy Zamkowej, dawnej rezydencji Habsburgów (Wiener Hofmusikchappelle in der Wiener Hofburg). Do dziś mieszka i pracuje w Wiedniu, nie licząc częstych wyjazdów na tournée, także zagraniczne (Niemcy, Japonia, Izrael, Francja, Holandia, Włochy, Szwajcaria).

Zbigniew Pinderak śpiewa w chórze opery, wykonuje partie solowe w operze wiedeńskiej i w innych teatrach. Uczestniczy w dorocznym festiwalu w Salzburgu (Salzburger Festspiele), w produkcjach muzycznych – od oratoriów poprzez operę, operetkę, musical, aż po muzykę współczesną, multimedialną. Bierze udział w nagraniach dla pro-music, voceart (płyta sprzedawana w Japonii i Korei). W jego repertuarze operowym, operetkowym i koncertowym znalazły się dzieła takich kompozytorów jak: Mozart („Cosi fan tutte”, „Idomeneo”), Salieri („Falstaff”), Haydn („Stworzenie świata”, „Pory roku”, „Armida”), Beethoven („Fidelio”, „Dziewiąta symfonia”), Rossini („Cyruлик sewilski”), Lehar („Wesoła wdówka”, „Kraina uśmiechu”), Johann Strauss (arie i duety operetkowe), Richard Strauss („Capriccio”), Puccini („Messa di Gloria”), Verdi („Messa da Requiem”) i innych. Brat udział w musicalu „Sissi”, który został przygotowany w roku 1998, w setną rocznicę śmierci „najpiękniejszej cesarzowej XIX wieku”, legendarnej Sissi. Grał tytułową rolę w operze multimedialnej „Larry”. W tym roku, w ramach Salzburger Festspiele, będzie śpiewał partie solowe w operze „L’Upupa” (prawykonanie).

Z. Pinderak zdobywał prestiżowe nagrody w konkursach międzynarodowych, by przypomnieć tylko II Nagrodę w kategorii oratorium w konkursie śpiewu operowego i oratoryjnego w Dusznikach-Zdroju, III Nagrodę w konkursie śpiewu operowego im. Jaume Aragall w Hiszpanii. W konkursie wokalnym „Nowe Głosy”

w Niemczech (Guetersloh) oraz w konkursie śpiewu w repertuarze włoskiej opery w Niemczech (Hamburg) znalazł się w grupie finalistów, w konkursie im. Roberta Schumanna w Niemczech (Zwickau) – w II rundzie.

Poprzez pracę w operze i udział w mszach w Hofburgu Z. Pinderak związany jest z wiedeńską tradycją muzyczną, głęboko zakorzoną w historii kultury Austrii (zwłaszcza w epoce baroku, w barokowej radości życia, jakiej oddał się Wiedeń po zażegnaniu niebezpieczeństwa tureckiego), a także z reprezentującymi ją instytucjami. Ślady materialne zamiłowania Austriaków do muzyki spotkać można na każdym kroku; trwałymi składnikami wiedeńskiego pejzażu są gmachy opery, teatru dworskiego i innych scen. Stefan Zweig w swoich wspomnieniach „Świat wczorajszy” pisał o tym codziennym, powszechnym obcowaniu z tradycją muzyczną: „Tutaj grał Beethoven u Lichnowsky’ego, tam Haydn był gościem Esterhazy. Tu znów, w starym uniwersytecie, po raz pierwszy zabrzmiały dźwięki <Stworzenia świata> Haydna”. Warto wspomnieć, że w pałacu Esterhazy w Eisenstadt, gdzie odbywają się Międzynarodowe Dni Haydna, Z. Pinderak wystąpił w „Armidzie” w roli Ubaldo (w jęz. włoskim).

Obecny gmach opery wiedeńskiej wzniesiony został w latach sześćdziesiątych XIX wieku, w stylu neorenesansowym, przy reprezentacyjnym bulwarze – Ringu. Przedstawieniem inauguracyjnym działalności ówczesnej Opery Cesarskiej był „Don Giovanni” Wolfganga Amadeusza Mozarta, wystawiony 25 maja 1869 roku. Dekoracje w klatce schodowej opery także upamiętniają jednego z największych kompozytorów austriackich; lunety na suficie ozdobione są freskami Moritza von Schwind, prezentującymi sceny z „Czarodziejskiego fletu”. Przedstawienia w operze gromadzą zawsze tłumy ludzi; widownia posiada ponad 2200 miejsc, wykupuje się także tzw. „miejsca stojące”. Wielką popularnością cieszą się również koncerty w Domu Towarzystwa Przyjaciół Muzyki, którego centrum stanowi olśniewająca, bogato zdobiona Złota Sala, mieszcząca 2042 widzów. Jest to siedziba słynnej orkiestry Wiedeńskich Filharmoników (Wiener Philharmoniker), znana widzom z wielu krajów z transmitowanych stamtąd Koncertów Noworocznych. To jeden z najważniejszych ośrodków wiedeńskiego życia kulturalnego. W Złotej Sali Zbigniew Pinderak śpiewał „Pasję św. Jana” J. S. Bacha, „Mesjasza” Haendla, w roku 1998 brał udział

w galowym występie - mszy Schuberta, upamiętniającej 500 lat tradycji muzykowania w Dworskiej Kaplicy.

Wydarzenie to obchodzono bardzo uroczysto. Msze w Wiener Hofmusikchappelle w oprawie muzycznej z udziałem Wiedeńskich Filharmoników, „Wiedeńskich Słowików” (Wiener Sangerknaben) oraz solistów wiedeńskiej opery stanowią bowiem jedną z ostatnich form życia duchowego dynastii Habsburgów, jakie zachowały się do czasów dzisiejszych, mimo iż Austria przestała być monarchią w roku 1918 (innym reliktem minionych czasów jest Hiszpańska Szkoła Jazdy – Spanische Reitschule, szkoła jeździecka, która istnieje od roku 1592). Zapewne ta bogata tradycja i udział w koncertach wybitnych artystów powodują, że niedzielne msze w Hofburgu stanowią dla ich uczestników wielkie przeżycie artystyczne. Zbigniew Pinderak śpiewa tu partie solowe w mszach takich kompozytorów jak: Salieri, Mozart, Haydn, Beethoven, Schubert, Bruckner.

Od tradycji zatem nie sposób w Wiedniu uciec. Niemal każda impreza muzyczna przypomina ją i odnawia. Przed kilkoma laty pożar zniszczył część rezydencji cesarskiej - symbolu historycznej przeszłości Austrii i trwałości jej mitu; po odbudowie i bardzo kosztownej renowacji tej części Hofburgu w Sali Redutowej odbył się koncert z okazji oficjalnego jej otwarcia, w którym Z. Pinderak wziął udział. W czerwcu tego roku wystąpił z kolei w koncercie w Pałacu Schwarzenbergów; na ów występ soliści zajechali pod pałac... karetami. Nawet występując poza granicami Austrii trudno uniknąć spotkania z jej historią. Podczas tournée w Jerozolimie Z. Pinderak miał okazję śpiewać w wybudowanym przez jednego z cesarzy austriackim hospicjum, noclegowni przy Via Dolorosa dla przybywających tu austriackich pielgrzymów.

Tradycyjne formy kultury stanowią część współczesnego życia, są wciąż weryfikowane, adaptowane na różne sposoby; mogą czasem ujawnić swoje niespodziewane oblicze. Podczas jednego ze spotkań ze Zbyszkciem rozmawialiśmy o librettach operowych i operetkowych. Do najbardziej popularnych i do dziś najczęściej granych operetek należą dzieła kompozytorów końca XIX i początku XX wieku. Libretta do nich pisali przeważnie twórcy pochodzenia żydowskiego, niezwykle aktywni w tej niełatwej dziedzinie. Leon, Stein, Herzer, Genee (gdańszczanin z pochodzenia) to auto-

rzy librett do takich operetek jak: „Noc w Wenej”, „Wiedeńska krew”, „Zemsta nietoperza” Johanna Straussa – jednego z ostatnich przedstawicieli „złoty tradycji” wiedeńskiej operetki, „Wesoła wdówka” Franza Lehara, „Księżniczka czardasza” Emmericha Kalmana. Weszły one na stałe do repertuaru światowego i utożsamiane są z tym, co intuicyjnie określa się mianem „wiedeńskiego ducha”, lekkości, wdzięku, elegancji. Po prapremierze „Zemsty nietoperza” (Fledermaus) w roku 1874 recenzent poczytnej gazety „Neue Freie Presse”, utyskując na powszechnie znane słabości i niedostatki librett operowych, podkreślił, że tylko w dźwiękach muzyki Straussa bije serce wiedeńczyka, można w nich odczuć powiew łagodnego wiedeńskiego wiatru. Jeśli się jednak dobrze wsłuchać w ton tych utworów, uchwytana staje się melancholia, jaką są podszyte. Nie tylko beztroska i radość życia ujawnia się w popisowych operetkowych partiach, podob-

nie zresztą jak w wiedeńskich walcach. To także świadomość, że między marzeniem a rzeczywistością istnieje głęboki rozdźwięk, jak głoszą słowa jednej z najbardziej znanych arii z „Zemsty nietoperza”: szczęśliwy, kto zapomina o tym, czego i tak zmienić się nie da... To postawa wobec życia streszczająca się w słowach z „Krainy uśmiechu” Lehara: uśmiechać się mimo cierpienia i smutku...

Jeśli dostrzeżemy tę dwoistość czy raczej - wieloaspektowość wiedeńskiej kultury, odstąpi ona przed nami swoje nieprzebrane bogactwa. Bez wątplenia należy do nich muzyka. Zbyszowski Pinderakowi można pogratulować, że, wykorzystując w pełni swój talent, współuczestniczy w kontynuowaniu i pielęgnowaniu muzycznych tradycji tej części Europy. Tradycji, które kształtują oblicze współczesnego życia artystycznego.

Elżbieta Hurnikowa

fot. Jacek Kamiński



Joanna Grochowska. Mottem Pańskiej książki „Przy mikrofonie Piotr Kaczkowski” są słowa Edny St. Vincent Millay: „lecz nie ma pociągu, do którego nie wsiądę, nieważne dokąd zmierza”. Czy zawierają jakąś ważną dla Pana tajemnicę, że uczynił je Pan mottem?

Piotr Kaczkowski. Te słowa zobaczyłem na rozwidleniu dróg mojego życia. Jechałem metrem. Był wieczór przed moimi urodzinami. Miałem w kieszeni bilet lotniczy, który z dużego miasta miał mnie o świcie wywieźć na wyspy, gdzie słońce i palmy, a w tym mieście była plucha, śnieżyca i na ulicach błoto po kostki. Jechałem na bardzo ważne spotkanie, które miało zadecydować o tym czy wracam do Polski, czy zostaję w Stanach Zjednoczonych.

I zdecydowałem, że jadę na te dalekie wyspy, ale potem wracam do Polski. W ten sposób rozstałem się, być może, z częścią mojego przeznaczenia, ponieważ ja i moja pani spokojnie, mądrze, logicznie podjęliśmy decyzję o rozstaniu. Ona nie chciała wracać do kraju, ja chciałem.

Jadąc metrem myślałem o czekającej mnie za chwilę rozmowie i wtedy zobaczyłem ten tekst: „mam wielu wspaniałych przyjaciół i lepszych mieć nie będę, ale jak zobaczę jakiś pociąg to wsiądę do niego, nieważne dokąd jedzie”. To była, jak się potem okazało, jedna zwrotka z długiego wiersza nieżyjącej już amerykańskiej poetki. Ktoś wpadł na pomysł, żeby umilić pasażerom metra podróż i wygrzebał, z różnych być może tomików, kilka linijek o podróżowaniu, wydrukował na kartce papieru, a potem przykleił obok reklam.

To, że usiadłem w tym miejscu i zobaczyłem ów tekst przed sobą, nie jest przypadkiem. Zdażyłem go przepisać zanim wysiadłem w samym środku miasta, na 42 ulicy.

J.G. Czy dzisiaj żałuje Pan tej decyzji?

P.K. Decyzji powrotu?

J.G. Tak.

P.K. Nie. Nie wiem czy w ogóle żałowałem jakiegokolwiek decyzji.

Natychmiast po – jesteśmy przekonani o słuszności naszej oryginalnej decyzji, więc nie przyjmujemy do wiadomości faktu, że mogła być zła. A po wielu, wielu latach już się nie pamięta albo można sobie wytłumaczyć, że to jeszcze za wcześnie, żeby wiedzieć czy ta decyzja była słuszna czy nie. Nie, nigdy nie żałowałem żadnej decyzji.

J.G. W „Zapowiedzi Początkowej – Maxi” teje książki, pisze Pan: „połowę człowie-

czeństwa wynosi się z rodzinnego domu, a ja wyniosłem więcej niż połowę”.

Jaki wpływ na rozwój Pańskich zainteresowań i pasji, a także wybór zawodu miał dom rodzinny? Czy rodzice wspierali Pana, czy może odradzali?

P.K. Moi rodzice cudownie pozwalali mi być sobą, jeżeli oczywiście dzieciak może być sobą. W domu było pianino, grała na nim mama. Był to jeden z kilku mebli, przepraszam za słowo mebel, które nie zostały rozszabrowane po Powstaniu Warszawskim z małego domku na warszawskim Żoliborzu. Podejrzewam, że było za ciężkie, a poza tym po co komu wtedy było pianino? Rozkradziono różne inne meble, a został wielki stół i nadpalony kawałek kredensu, które mam do dziś, oraz pianino, na którym mama chciała nauczyć mnie grać.

Z domu rodzinnego wyniosłem bardzo wiele, ponieważ moi rodzice jako małżeństwo spędzili ze sobą pół wieku. Gdy myślę o tym, to odnoszę wrażenie, że wynosiłem z niego prawie przez całe moje życie. Rodzice dzielili się ze mną wszystkim także kiedy byłem dorosły, miałem już własną rodzinę i dziecko. Cały czas jeszcze byłem ich dzieckiem, które wiele wynosiło z rodzinnego domu – mimo, że nie mieszkaliśmy już razem.

Cudowne było, że moi rodzice zgadzali się na to, co mnie przyszło do głowy. Jak powiedziałem: „będę jeździł na rowerze” – „świetnie!”, „ale ja będę jeździł na rowerze codziennie” – „doskonale!”, „będę jeździł dwa razy dziennie” – „świetny pomysł!” I tak było właściwie ze wszystkim. Powiedziałem, że muszę skompletować sobie książki – „doskonale!” „Zrobię sobie na nie półkę” – „świetny pomysł!” Być może z tego wzięta się moja miłość do robienia półek. W każdym razie zrobiłem sobie ileś półek i skompletowałem ileś książek.

W pewnym momencie powiedziałem, że już nie będę grał na fortepianie i nie będę chodził do szkoły muzycznej. Pamiętam, że rodzice pytali mnie parę razy czy jestem tego pewien. Prosiłi, żebym przemyślał swoją decyzję i kiedy już nie chodziłem do szkoły muzycznej, a w domu był fortepian kupiony właściwie dla mnie, przedostatni raz zapytali czy na pewno nie będę na nim grał? „Na pewno”. „To jeszcze się chwilę zastanów, my jeszcze raz cię zapytamy”. Po jakimś czasie powtórzyli jeszcze raz swoje pytanie. Odpowiedziałem: „nie będę więcej grał na fortepianie”. Forte pian został usunięty z domu. Gdy mówię, że w domu nauczono mnie bardzo wiele, to także dlatego,



że mogłem sam decydować. Nie zawsze było to przyjmowane z entuzjazmem, natomiast zawsze ze zrozumieniem.

Takie postępowanie rodziców dawało mi możliwość zastanawiania się czy robię dobrze, mądrze i czy to co robię jest słuszne.

J.G. Rodzice zapewniali Panu ogromną autonomię. Czy dziś Pan swojej córce również zapewnia taką samą autonomię? Czy ma Pan podobny stosunek do niej, jak mieli Pańscy rodzice do Pana?

P.K. Ja miałem to szczęście, że moi rodzice byli cały czas razem. Był duży dom, w którym, gdy byłem dzieckiem, mieszkało dziewięć osób. Moja córka nie miała tego szczęścia, ponieważ była tylko z mamą. Ze mną widywała się raz w tygodniu i były to wizyty ograniczone czasowo. Gdy się spotykałem z Olą, dostawałem listę spraw, które w trakcie spotkania musiałem z nią wykonać. Dopiero teraz, kiedy Ola jest już dorosła i mieszka sama, kiedy mamy czas i chcemy być ze sobą, mogę jej przekazać coś z tego, czego się sam nauczyłem. W tym celu można wyjechać gdzieś razem, co nam się zdarzało parokrotnie, albo po prostu być ze sobą. Bywa, że widzimy się, kiedy nie mamy nic do roboty, nie śpieszymy się.

J.G. Słowem nadrabia Pan zaległości.

P.K. Tak, ja tak. Muszę jej wynagrodzić to trochę skrzywione, stracone dzieciństwo. I ja wiem, że ona wie.

J.G. Jest Pan synem znanego fotografa Adama Kaczkowskiego – czy profesja ojca miała wpływ na wybór przez Pana zawodu dziennikarza radiowego, skoro pisze Pan, że zawdzięcza mu „sztukę patrzenia i zauważania”?

Od Michael'a Stipe'a z zespołu R.E.M. w dość niecodziennych okolicznościach dowiedział się Pan, że będąc wielbicielem rysunków Bruno Schulza, jest on posiadaczem książki, która była owocem pracy pańskiego ojca. Co Pan wtedy czuł?

P.K.: Moment, w którym się dowiedziałem, że Bruno Schulz jest idolem Michael'a Stipe'a był nieoczekiwany. Miało to miejsce w Pradze podczas konferencji prasowej przed koncertem, który jak się później okazało został odwołany. Nagle Michael Stipe nie pytany przez nikogo, powiedział: „Wiem, że są na sali dziennikarze z Polski. Chciałbym im powiedzieć, że jestem wielbicielem twórczości Brunona Schulza”. Z sali, na której było sześćdziesiąt, a może nawet siedemdziesiąt osób z wielu krajów, rozległy się głosy: „Bruno jak?”

„Bruno?” „Jaki Bruno?” A on spokojnie mówił: „Schulz. Polak. Zamordowany przez Niemców. Pisarz, ale i rysownik. Jestem wielbicielem jego rysunków. Kupiłem nawet niedawno książkę prezentującą jego prace”.

Dobre trzy lata żyłem rozmowami z moim ojcem o książce, którą przygotowywał dla amerykańskiego wydawnictwa. Była ona prze-fotografowaniem, rozproszonych w prywatnych rękach i tych, które są w posiadaniu Muzeum Literatury, rysunków Schulza. Wśród nich było sporo znanych prac. Wiem, że ojciec jeździł w różne miejsca, bo ktoś miał np. jeden lub dwa rysunki. Nie wszyscy chcieli się zgodzić na fotografowanie tych prac. Przeważnie przekonywał ich fakt, że rysunki były robione przez Schulza na papierze, jaki znalazł pod ręką, np. na papierowej torebce, w którą pakowano dwa jabłka i że ten papier się rozpadnie, a rysunki trzeba zachować dla przyszłych pokoleń. Pamiętam jak mówiono, że on wykonał sto parędziesiąt, może dwieście rysunków – i tyle jest znanych. A ja wiem, że ojcu i panu Jerzemu Ficowskiemu udało się dotrzeć do pięciuset, co nagle i gwałtownie powiększyło liczbę znanych prac Schulza, które gdzieś istnieją. Gdy dowiedziałem się, że Michael Stipe ma książkę z rysunkami Schulza, pomyślałem sobie, że on nie może mieć żadnej innej tylko tę, którą przygotował ojciec, bo to była jedyna pozycja wydana na ten temat w Ameryce. Kiedy nazajutrz przyjechałem do Warszawy opowiedziałem oczywiście o tym ojcu, który już był bardzo chory, ale przytomny. Skojarzył artystę, ponieważ oglądał telewizję, gdzie można było zobaczyć teledyski. Powiedział: „Podoba mi się ten człowiek, zjedź do pracowni. Z tej a tej szafki, wyjmiesz teczkę i walizeczkę, i przyniesiesz mi”. Przyniosłem i okazało się, że są tam zupełnie unikatowe i mogę chyba powiedzieć – nieznanie światu, a na pewno szerszej publiczności, rysunki Schulza, które są alfabetem. Namalował je dla swojego przyjaciela, nie jestem pewien kto to był (ale pan Jerzy Ficowski będzie wiedział), książkę-skorowidz. Przy każdej literze namalował rysunek. Ojciec powiedział: „On się nazywa Michael Stipe – to M i S”. Wyciągnął te dwie litery, dał mi i powiedział: „Jak go następnym razem zobaczysz to mu daj”. No i dałem mu te rysunki, ale już po śmierci mojego ojca. Spotkałem go w Wiedniu. Parokrotnie przechodził korytarzem, tak jak artyści przechodzą – nie widząc nikogo, a ja czekałem na swoją kolejkę. W pewnym momencie, a czekałem już 4 czy 5 godzin,

wyjąłem te dwa rysunki i trzymałem w ręku. On przystanął, spojrzął na mnie, spojrzął na rysunki i powiedział: „To są rysunki Brunona Schulza!” Odpowiedziałem: „Tak, przywiozłem je dla ciebie. Za chwilę mam mieć z tobą wywiad i wtedy ci je wręcę”. I wywiad był. Czy doszłoby do niego bez tych rysunków? Nie wiem. W każdym razie odbyłem z nim króciusięnką rozmowę i powiedział mi wtedy o Schulzu to, co umieściłem w książce.

Kiedy po śmierci ojca porządkowaliśmy jego archiwum, pomyślałem sobie: „Uzupelnij Michaelowi jego nazwisko dalszymi literami”. Wtedy, gdy zobaczył dwie pierwsze powiedział: „Słuchaj, to będzie wisiąło u mnie w salonie!” Więc pomyślałem sobie: „Dowiozę mu. Niech ma napisane Michael Stipe.” Potem widziałem się z nim jeszcze raz i powiedziałem: „To są brakujące litery”. Gdy wyjąłem je, powiedział: „Pamiętam cię, to ty mi przywiozłeś dwa rysunki Schulza”.

Ale wracając do początku pytania. Podczas wspólnej pracy w ciemni ojciec nauczył mnie cierpliwości. Trzeba było rozrobić wywoływacz, utrwalacz, wszystko wyczyścić i uważać, żeby kropla jednego płynu nie pojawiła się w drugim roztworze. To nie było tak jak teraz – cyfrowa obróbka i na komputerze można zrobić wszystko. Wtedy wszystko robiło się ręcznie. Ręcznie wywoływało się filmy, płukało, ręcznie robiło się każdą odbitkę i wszystkie powiększenia. Dzięki ojcu poznałem tajniki fotografii, lubiłem to, aczkolwiek nie za bardzo,

bo miałem już muzykę i rower... Wciągało mnie to, ale nie do tego stopnia, bym objął po ojcu pracownię, co szybko zrozumiał. Może cudownie się zdarzy, że w drugim pokoleniu ta pasja odżyje, ponieważ moja córka zapisała się do szkoły fotografii, uczy się i bardzo ją to pasjonuje. Jest zachwycona, robi zdjęcia gdzie tylko może i widzi pięknie.

To piękne widzenie jest tym, czego właśnie ojciec mnie nauczył. Jeździliśmy wielokrotnie robić zdjęcia gdzieś w plenerze, w Żelazowej Woli czy Oświęcimiu. Widziałem jego spokój. Widziałem jak patrzy na niebo, jak się rozgląda. Nie było w tym nic z fotografowania, ale jednocześnie wiedziałem, że kiedy on tak patrzy i mówi: „tu to zdjęcie trzeba zrobić do dziesiątej rano”, to na drugi dzień robi to jedynę zdjęcie o 10.00 rano... i wyjedziemy.

Uczył mnie też kadrowania, pokazywania szczegółów, kolorów i sądzę, że to jest bardzo związane z muzyką – pomaga mi w słuchaniu płyt. Gdy zastanawiam się, jak zostały skonstruowane, ponieważ znam ileś tysięcy wzorów, jest mi bardzo łatwo zrozumieć przemyslenia autora. Gdy przeprowadzam wywiad zdarza się, że artyści pytają: „ale skąd ty to wiesz? To moja tajemnica, myślałem, że nikt tego nie widzi”, na co odpowiadam, że właśnie tak mi się tylko wydawało. **cdn.**

Przepraszamy P. Piotra Kaczkowskiego za błędy korektorskie, jakie znalazły się w pierwszej części rozmowy, redakcja „Alej 3”



NOWY JORK – WINDA

Ludmiła Marjańska

Stoję w oknie, które z trudem udało mi się otworzyć. Muszę wpuścić trochę nie tyle powietrza, co przestrzeni do hotelowego pokoju. Wprawdzie klimatyzacja działa sprawnie, ale żyć w zamknięciu? Nie móc otworzyć okna? Czy komuś oprócz mnie przyszłoby do głowy, by szarpać się ze szczelnym zamknięciem tylko po to, żeby z szesnastego piętra popatrzeć na kamienne wąwozy, którymi płyną strumienie samochodów, na brudne dachy, zaniedbane ślepe zaułki, na żelazne przeciwpożarowe schody, zawieszane na bocznych ścianach kamienic jak klatki na ptaki, których darmo by wypatrywać na blaszanym niebie. To miasto przeraża mnie, wsysa jak gigantyczny lej wodny, którego sile nie oprze się najlepszy pływak.

Co pozostało z poprzedniej radości? Jestem zamknięta, otoczona obcością, nikomu niepotrzebna, niezauważalna. Samotność, którą tak cieszyłam się w podróży, którą witałam jako zapowiedź nieopisanej swobody, nieogarnionych możliwości, przerażała mnie nagle. Przystaję w niej istnieć, jestem nikim, nikt mnie nie oczekuje, nie potrzebuje. W milczeniu telefonu jest przerażająca nieobecność ludzi. Luksusowa łazienka oddziela od podróżnych, zamieszkujących sąsiednie pokoje na tym samym korytarzu. Jestem sama, sama, sama. Jak to możliwe, że to, na co się tak cieszyłam, czego oczekiwałam tak niecierpliwie, stało się ciężarem nie do zniesienia? Mam ochotę płakać, krzyczeć, wyć. Nie, muszę się jednak opanować, bo ulegnę panice do reszty. Zamknąć okno, wziąć torebkę, wyjść.

Korytarz pusty, jakby poza mną nikt się tu nie zatrzymał. Cały hotel jak wymarły, o tej porze nikt nie wychodzi na miasto ani nie wraca, nie jest to pora lunchu, ani obiadu, ani nawet popołudniowego koktajlu. Przyciskam guzik, dolna strzałka rozżarza się czerwono, ale winda jedzie w górę niestychnie powoli, jakby przystawała na każdym z szesnastu pięter. Z trudem znoszę to czekanie. Serce ścisza mi obręcz. Gdybym wiedziała, gdzie są schody, puściłabym się nimi biegiem, byle na dół, na ziemię, do wyjścia, byle tylko wydostać się z zamkniętej przestrzeni. Od całkowitej paniki ratuje mnie tylko monotony szmer zamrażarki, w której można zaopatrzyć się w kostki lodu. Ba, gdybym miała w pokoju gin i tonik!

Wreszcie lekki dźwięk podobny do trącenia struny: winda dociera, zatrzymuje się, jeszcze

nieskończenie długa chwila, zanim rozsuną się bezszelestnie drzwi. Rzucam się w nie jak do todzi ratunkowej.

Ale to tylko zmiana bezruchu w ruch. Przestrzeń jest jeszcze bardziej zamknięta, bez okien, bez szpar, bez lustra. Ściany przybliżają się, jakby chciały zdusić śmiałka, który się tu znalazł. Niespodziewanie ponowny dźwięk trąconej struny, czerwone światełko na cyfrze 10, winda staje, a drzwi rozchylają się jak skrzydła anioła, wypuszczając z objęć czarną, smukłą postać w bardzo kolorowej, zielononiebieskiej szacie. Głowa Nefretete o wypukłych murzyńskich wargach, na skręconych włosach wysoko upięta chusteczka, zjawisko uśmiecha się do mnie i biel tych zębów staje się wybawieniem. Rozluźniam się, oddycham głęboko i rozsuwam wargi w próbie uśmiechu.

– Haj, – mówię, na co dziewczyna wyciąga trzymaną w rękę paczuszkę miętowych drażetek, pytając śpiewnie: – Want some?*

W tej chwili wzięłabym z jej ręki nawet narkotyk, byle podzielić się czymś z drugim człowiekiem, byle poczuć czyjąś życzliwość.

Na czarną Nefretete czeka w lobby wysoki, ciemnoskóry młodzieniec. Wychodzą przez obrotowe drzwi, ich specyficzne, taneczne ruchy, stąpanie lekkie i pewne, szczupłość młodzieńczych bioder, długość nóg, oddalanie się w betonowy wąwóz pod niebieskim baldachimem. Ale ta wspólnota nie budzi we mnie zawiści, nie pojawia się doznawane niekiedy ukłucie przykrości. Opuszczenie i smutek minęły, jakby gest ciemnej ręki podającej pudeteczko z drażetkami miał działanie magiczne. Wychodzę na ulicę, mieszam się z kolorowym tłumem, obca pośród obcych, z ciekawością, ale w miarę powściągliwie podglądając cudzą samotność i cudzą miłość, cudze stroje, gesty, dziwactwa, cudzą nędzę, pośpiech, zaferowanie.

Pośród ludzi na ulicy nie odczuwa się samotności, można udawać, że dokądś idziemy, że nam się śpieszy, że ktoś nas oczekuje w umówionym miejscu, o określonej porze. I tak przecież jest naprawdę, coś mamy do zrobienia, jeśli nie dziś, to jutro, pojutrze, po coś w końcu jeździmy do obcych miast, w obce kraje, umawiamy się z obcymi ludźmi, którzy, niekiedy, z czasem stają się nam bliscy i potrzebni.

Czy powoduje nami tylko ciekawość? Czy naprawdę interesuje mnie to, co się dzieje teraz dokoła mnie? Czy nie wolałabym siedzieć w swoim mieszkaniu, zatopiona w książce i kłopotach codzienności? Przecież to codzienna krzątanina zabiera nam większość naszego czasu, a więc może ona stanowi samo życie? Może nie ma nic nadzwyczajnego

w wielkich podróżach, w zmianach klimatu, obyczajów, języka, skoro powstają w nas te same lęki i niepokoje, tak samo odczuwamy głód, zmęczenie, zadowolenie, rozpacz?

Jestem znowu spokojna. Wędruję czterdziestą drugą ulicą w poprzek nowojorskiej wyspy Manhattan, sama, niezależna od nikogo i niczego. Ten czas jest wyłącznie moim czasem, moje wrażenia tylko moimi wrażeniami. Błogostawione oderwanie się od wszelkich powiązań, od siebie samej, uczucie wolności, swobody, jakby teraz wszystko było możliwe.

* Chcesz? 1976
cdn.

Nota od redakcji:

Zapiski Amerykańskie Ludmiły Marjańskiej drukowane w poprzednim, 42. numerze „Alej 3” pochodzą z roku 1974 (Świat w pigułce – Lotnisko we Frankfurcie nad Menem i z roku 1980 (Przylot – Kennedy Airport).

Pocztówki z Jasnej Góry

Mateusz Szkop

Nie wierzyliśmy, ale mężczyzna nie dawał za wygraną – wyciągnął mapę i zaczął jeździć po niej palcem mamrocząc jakieś słowa pod nosem. Nagle krzyknął uradowany i spojrzął w naszą stronę. Kazaliśmy zatrzymać autobus.

Ta wyprawa, na którą wybraliśmy się z Majkelem miała zupełnie inny, określony cel – Transylwanię. Tymczasem w autokarze gdzieś na rumuńskiej Bukowinie, cztery godziny drogi od dawnego królestwa Włada Palownika, spotyka nas taka niespodzianka; według tutejszego Roma, gdzieś głęboko w tych górach, pokrytych gęstą puszcza, mieszkają Polacy. Sprawdzenie tej rewelacji leżało w naszej naturze. Nie mogliśmy znieść wynikających z naszego lenistwa i nieufności żali. A poza tym, nawet jeśli to nieprawda, nadłożenie kilku dni drogi nie może nam w żaden sposób zaszkodzić. Nie ograniczają nas żadne terminy. Jesteśmy w Rumunii. W środku lata.

Jest duszno – wieczorem będzie burza. Obaj z Majkelem wiemy o tym, ale nie tracimy sił na niepotrzebne rozmowy. Maszerujemy polnymi drogami z naprężonymi do granic możliwości plecakami. Rewelacje potwierdzili spotkani po drodze wieśniacy: gdzieś tam, piętnaście kilometrów przed nami, znajdują się trzy wioski zamieszkałe tylko przez Polaków. Ukryte dla świata, pozbawione asfaltowej drogi dojazdowej, z dwóch stron otoczone czterdziestoma kilometrami górzystej pustki, pomijane przez większość rumuńskich map: Plesza,

Pojana Mikuli i Nowy Soloniec – część polskości zachowana tak daleko od domu.

Mamy szczęście. Dwóch młokosów zlitowało się nad nami i zaprzęgå konia. Podróż na furmance to jedyny środek lokomocji w tej okolicy – dla mnie przypomnienie lat szczenięcych. No i wreszcie można się zdrzemnąć. Jeszcze dwa lata temu przejazd tą drogą, przy takiej pogodzie przypominałaby błotne przepychanki a la Camel Trophic. Na szczęście rząd Rumunii znalazł pieniądze na rozwój infrastruktury w tej części kraju – polną drogę pokryto betonowymi płytami. Dla tutejszych to niezły powód do dumy.

W Nowym Solońcu wita nas rześisty deszcz. W podziękowaniu chcemy dać chłopcom dwie czekolady i resztę słodyczy. Majkel uważa, że czekolady wystarczą, ale ja mam dobre serce i upieram się przy swoim. Na dyskusje nie ma czasu, bo z każdą sekundą mokniemy coraz bardziej. W końcu chłopcy żegnają nas z resztą naszych słodyczy, a my chronimy się w świetlicy Domu Polskiego.

Tu poznajemy pierwszego mieszkańca – Andrzeja, dwudziestokilkuletniego chłopaka, który będzie naszym przewodnikiem do końca pobytu. Wita nas w świetlicy bardzo ciepło, zasypując setką pytań, na które my zaskoczeni nie potrafimy sensownie odpowiedzieć. Nie dlatego, że nie rozumiemy jego języka. Co prawda niektóre wyrazy słyszymy po raz pierwszy. Ich korzenie mogą sięgać Śląska Cieszyńskiego, skąd Polacy przybyli tu dwieście lat temu, lub stanowić naleciałość języka rumuńskiego. My jednak jesteśmy zaskoczeni innym faktem – polskimi produktami, polskimi napisami i Polakami z krwi i kości.

Andrzej opowiada nam o ekonomii i agroturystyce:

– Za noc w Domu Polskim musielibyście zapłacić dwa dolary. Są tu też tacy, co was przenocują u siebie za jednego. Ostatnio kupiłem farb za dwadzieścia dolarów i pomalowałem całe mieszkanie!

– To może, Andrzeju, będziemy nocować u ciebie za tego dolara?

– U mnie to za darmo! Chodźcie!

Lipcowe słońce obudziło nas następnego dnia, nie pozwalając normalnie oddychać przez nos. Matka Andrzeja nastuchiwała naszego przebudzenia, a wkroczywszy do pokoju zaproponowała herbatę. Wybiegła do ogródka przy ulicy i narwała jakiejś zielonej, postrzępionej rośliny. Jej kawałki pływały później w mojej szklance. „Pyszna,” – przyznałem – „ale troszkę zbyt gęsta!”

Później podano obiad, na który zostaliśmy zaproszeni. Tutaj niespodzianki już nie było – w talerzu również pływała zielona roślinina, a ponieważ wcale nie była zła, szybko się do niej przyzwyczailiśmy.

Po obiedzie wybraliśmy się na spacer. Mieszkańcy wracali właśnie do przerwanej pracy w polu. Każdy z nich odpowiadał nam: „dzień dobry”, przystawał na chwilę, by porozmawiać. Rozmowa zazwyczaj kończyła się na pytaniu: „gdzie mieszkanie?” Kiedy odpowiadaliśmy zgodnie z prawdą, nasz rozmówca odchodził z niezadowolonym, lub z lekką nutką zazdrości, rzucał coś pod adresem Andrzeja.

Poculiśmy się w wiosce bardzo swobodnie. Ludzie zaczęli o nas plotkować i bardzo szybko staliśmy w centrum zainteresowania lokalnej społeczności. Każdy chciał dla nas jak najlepiej. A my, niczym niewdzięczni pupilkowie, kiedy mężczyźni i kobiety pracowali w polu, budowaliśmy tamy na rzece albo spacerowaliśmy po górach.

*

Polacy nieprzerwanie zamieszkują te tereny od roku 1772. Wtedy to, po pierwszym rozbiórce Polski, Austria zajęła Galicję razem z jej wschodnią częścią aż po granicę z Mołdawią. Teren ten był słabo zaludniony. Żyli tu przede wszystkim Rumuni i Ukraińcy oraz niewielka ilość Żydów. W tym czasie Bukowina stawała się ojczyzną dla wielu grup etnicznych i narodowych, nie tylko dla Polaków, lecz także dla Niemców, Węgrów. Zawędrowali tu także polscy górale pochodzący ze Śląska Cieszyńskiego, ze Spisza i Orawy. Przybywali na Bukowinę głównie ze względów ekonomicznych. Ukształtowanie tutejszego terenu w znacznym stopniu przypominało im krajobraz z rodzinnych stron, które opuścili.

Z czasem ten wielokulturowy tygiel kruszył się i rozsypywał. Głównie z powodów ekonomicznych i politycznych. W roku 1967 liczbę Polaków na tych terenach szacowano tylko na 1400. Wpływ na tę migrację miał niewątpliwie N. Ceausescu i jego despotyczne rządy. Dążył on, jak pisze Andrzej Jedynek w książce „Pod jednym niebem”, nie tylko do wynarodowienia, ale do całkowitego zniszczenia tradycyjnych struktur społecznych. Jedynym postępowaniem tamtego okresu była elektryfikacja wiosek. Do dziś synonimem zamożności jest tutaj ilość posiadanych krów lub koni. Traktor jest raczej niespotykanym urządzeniem. Przez pokolenia mieszkańcy pozostawali wierni temu wszystkiemu, czym żyli ich ojcowie. Ich podstawową wartością nadal jest wiara katolicka, język i tradycje, które przynieśli tu ze sobą.

*

Szybko przyzwyczailiśmy się do uroków tych stron i do życzliwości ludzi, mimo iż czasami nasze relacje przypominały te z kafkowskich powieści. Po niektórych spotkaniach czuliśmy jakąś ukrywaną tajemnicę, jakiś temat tabu, na który nigdy wprawdzie nie zeszliśmy w rozmowie, ale który przez cały czas wydawał się wisieć gdzieś nad nami. Być może był to tylko wytwór naszej wyobraźni, być może jakiś nieodzowny element małej, wiejskiej społeczności, którego my z racji swojego wychowania nigdy nie zrozumiemy. Przyzwyczailiśmy się też do długiego snu. Pobudkę robiliśmy dopiero koło dziesiątej, kiedy większość mieszkańców przebywała już w polu. Wyglądając przez okno na ulicę, witałem się z zebranymi przed moim płotem niezamężnymi dziewczętami. Te częstowały nas przynoszonymi ze swojego sadu owocami. Na początku odbierałem to jako gest powitalny, z czasem wizja przyszłości zaczęła mnie przerażać.

Był wtorek, kiedy razem z Majkelem weszliśmy do sklepu spożywczego (magazyn mixt). Zaopatruje go jedyny posiadacz samochodu osobowego – ksiądz proboszcz. W Kaczycy, gdzie mieści się ośrodek mniejszości polskiej, zaopatruje się w produkty spożywcze, a nawet w kilka egzemplarzy Gazety Wyborczej, które docierają tu z opóźnieniem dwóch – trzech dni. Przywitaliśmy się ładnie ze sprzedawczynią. Zanim stanęliśmy w kolejce, wszyscy w milczeniu zmierzyli nas nieufnym spojrzeniem. Dopóki stamtąd nie wyszliśmy panowała krępująca cisza. Nie wiedzieliśmy, czym zasłużyliśmy sobie na taką reakcję sąsiadów. Wracając z zakupami, spostrzegliśmy na rynku przy kościele stary, ledwo zipiący autobus. Wokół tłoczyli się ludzie wyciągając z niego, pudła, siatki i kartony. Popędziliśmy w jego stronę, zaskoczeni takim widokiem. Później popędziliśmy po plecaki. Spakowaliśmy się w minutę, a ponieważ w domu nie było gospodarzy zostawiliśmy kartkę z podziękowaniem i kilka obrazków z Jasną Górą.

Kiedy wyjechaliśmy z wioski i zjeżdżaliśmy zygzakiem ze stromego zbocza góry, wyobraziłem sobie kolejne dwa tygodnie, które mogłem spędzić w Nowym Solońcu. Dwa tygodnie, bo co taki okres kursuje tu autobus. Zawsze, w co drugi wtorek. Zawsze o dwunastej.

Co dokładnie sobie wyobraziłem? To już nie ma żadnego znaczenia.

3 okna na KULTURĘ

Jest wiele spraw, o których bym chciał napisać. Zacznę od trzech myśli...

Filozofia happeningu zamiast Ewangelii

Zbyt często ulegamy przeświadczeniu, że człowiek ma tylko prawa. Zapominamy o szeregu powinności wobec innych. Do tych powinności należą m.in.: troska o własne sumienie, troska o poszanowanie godności i wolności wszystkich ludzi, troska o prawdę, zwłaszcza prawdę informacji, służba życiu, patrzenie na człowieka jak na największą wartość i uczestnictwo w życiu społecznym. Zbyt często na etykę patrzymy w sposób negatywny – przez pryzmat zakazów i nakazów. To błąd. Podstawą ładu moralnego jest miłość, której twórcą jest Bóg. Dziś wielu zaczyna żyć według zasady: „zabawa czyni wolnym” zamiast augustyńskiej „kochaj i rób, co chcesz”. W globalnej wiosce rządzonej przez filozofię happeningu przestają obowiązywać uniwersalne zasady Ewangelii, zastąpione doraźnymi konwensami, modami, trendami i demokracjami bez absolutnych norm.

Kryzys tożsamości

Współczesny chrześcijanin, rozrywany przez pluralizm świata, nie chce odnaleźć swego ostatecznego miejsca przy Chrystusie. Izoluje się. Pragnąc spokoju, ucieka od problemów innych i traci poczucie sensu istnienia. Brak tożsamości wyraża się przede wszystkim w różnicach między wiarą deklarowaną a czynami, które z niej wypływają. Człowiek wpada w pułapkę relatywizmu, nadając odmiennym prawdom tę samą wartość. Wpada w pułapkę różnych moralności, różnych miłości i różnej charytatywności. Te różności przeczą sobie nawzajem. Wpada w końcu w pułapkę różnej duchowości i wielobóstwa, tracąc pewność, który z bogów jest prawdziwy.

Chryścianizacja kultury

Dziś wszechobecna jest laicyzacja społeczeństwa. Nawet „elity”, większość mass mediów, niektórzy „oświeceni” naukowcy i „pokolorowani” artyści odrzucają myśl, że coś może

być święte, wzniosłe, Boskie. Współczesna kultura dominująca przesycona jest ekonomią, hedonizmem, konsumpcjonizmem, seksualizmem, przeciętnością, obrazowością i powierzchownością. Chrześcijanie muszą tworzyć kulturę alternatywną wobec prądów dominujących. Ta kultura powinna się opierać na właściwej wizji człowieka pochodzącego od Boga, na bezwzględnym poszanowaniu życia, na pogłębionych więziach międzyludzkich, na dostrzeganiu problemów innych, na uzupełnianiu swej wiedzy z zakresu wiary. Kultura chrześcijańska powinna promieniować optymizmem i dbać o estetykę. Nie powinna też angażować wszystkich sił w życie na tym świecie.

W starożytności chrześcijaństwo wyparło pogaństwo, gdyż przemieniło kulturę, a nie politykę. Aby uchronić nasz świat od zagłady, musimy chryścianizować kulturę.

Wiem, że jest wielu ludzi, którzy myślą podobnie... Zapraszam do współpracy, dyskusji i na internetową stronę duszpasterstwa środowisk twórczych – www.oknonakulture.art.pl

*Ks. Grzegorz Ułamek
Duszpasterz Środowisk Twórczych
Częstochowy*



*fol. Jerzy
Piwowarski,
Lwów 2001*

Sztuka w tramwaju



Vlepka (wlepka), czyli striker, wklejka albo plaster to niewielka karteczka z treścią przyklejana w środkach komunikacji miejskiej wożących pasażerów w większych i średnich miastach polskich. Treść – dowolna, często łączy elementy graficzne i tekstowe, zależy tylko od przychytywu natchnienia wlepkarza, czyli twórcy. Reguły nie ma, choć wlepki zwykle emanują absurdalnym humorem lub równie absurdalną zadumą. Zdarzają się też wlepki polityczne, ekologiczne czy antyglobalistyczne.

Wlepki mają ponoć całkiem poważną genealogię. Osobnik o pseudonimie „fsh”, który jest obok „matki” jednym z najbardziej zasłużonych częstochowskich wlepkarzy (a razem tworzą fundament formacji ART!mwaj), pisze na swojej stronie internetowej www.fsh.of.pl, że „Pierwsze prototypy wlepek pojawiały się już w czasie II wojny światowej za sprawą Grupy Małego Sabotażu „Wawer”. Miały one oczywiście charakter propagandowy i antyniemiecki. (...) Później wlepki pojawiały się w okresie kochanego PRL-u. One również „pachniały” propagandą, tym razem antykomunistyczną. W czasach bardziej nam współczesnych pierwsze wlepki niepropagandowe pojawiły się

w Warszawie”, a w Częstochowie mniej więcej trzy lata temu.

Do produkcji wlepki wystarczy na ogół komputer i program graficzny, na przykład Paint albo – dla bardziej zaawansowanych – CorelDraw oraz oczywiście nieokieftznana wyobraźnia. Trafiają się też zapaleńcy tworzący tzw. handmade, czyli wlepki robione ręcznie. Tworzywem mogą być choćby zapafki naklejone na karteczkę. Potem już tylko trzeba wsiąść do autobusu czy tramwaju i wlepić. Na tym etapie pracy twórczej wlepkarze często spotykają się ze swoimi naturalnymi wrogami, czyli pracownikami miejskiej komunikacji lub legalistycznie nastawionymi – na ogół starszej daty – pasażerami. Dlatego poszukują innych miejsc dla ekspozycji swojej twórczości. Zdarzało się już, że wlepki trafiały do oficjalnych galerii sztuki, ale Częstochowa na razie nie doczekała się takiej wystawy, co nie znaczy, że wlepek nie można podziwiać poza środkami komunikacji miejskiej. Jak informuje „fsh”, Vlepgaleria „Powstała w październiku” 02, a ulokowana jest na jednych z metalowych drzwi (od wschodniej części budynku) stołówki akademickiej przy ulicy Dekabrystów. Wisi tam już kilkadziesiąt prac i wciąż pojawiają się nowe”.

Aleksander Wiorny

Częstochowskie wlepki można także podziwiać w internecie: www.fsh.of.pl, www.artmwaj.blog.pl.

W STRONĘ MAS

Rozmowa z Jakubem Zamojskim, częstochowskim wlepkarzem.

Stawomir Burszewski – Jaki masz pseudonim i co on oznacza?

Zamojskijak* – Podpisuję się hasłem „SIO”. Trzy lata temu robiliśmy wlepki z Jończykpio* i „SIO” kojarzyło nam się ze wszystkimi wyrazami, które zawierały te litery, np. Rysio, Misio, Siostra itd. Potem przyjęło się „Stań i Obczaj”. Można także tłumaczyć jako „Słowo i Obraz”.

S.B. – Jaka jest idea wlepkarstwa? Po co to robisz?

Z. – Większość ludzi żyje w pośpiechu. Pędzą do pracy, potem do domu, sklepu i tak w kółko. Zależy mi, żeby przyciągnąć ich wzrok podczas tej nieustannej gonitwy do małego kawałka kartki i pobudzić do myślenia, kojarzenia bardzo odległych, nietypowych pojęć i obrazów. Dlatego środki komunikacji miejskiej świetnie się do tego nadają.





S.B. – Reprezentujesz jakiś trend wlepkarstwa?

Z. – W Częstochowie dominuje wlepka hip-hopowa, ponieważ to środowisko jest u nas dosyć mocne. W innych miastach występują wlepki pacyfistyczne, anarchistyczne, punkowe i inne. Ja próbuję robić swoje, nie wiążąc ich z żadną ideą czy modą, chociaż chętnie współpracuję jako plastyk z grupami hip-hopowymi. Połączenie moich umiejętności z tą muzyką daje ciekawe efekty, a wzajemna promocja jest bardzo potrzebna.

S.B. – Co cię w tym bawi?

Z. – Reakcja ludzi. Czasami widzę jak ktoś odrywa wlepkę i chowa ją do portfela albo kieszeni. To znaczy, że mu się spodobała. Niekiedy ludzie widząc mnie przy pracy proszą o jedną kopię, bo akurat im się spodobała. W ten sposób też rozpowszechniam część egzemplarzy; drogą „rozdawaną”.

S.B. – Jak dużo zrobisz wlepek?

Z. – Około 250 rodzajów. Pierwsze 50 sztuk malowałem ręcznie flamastrem. Później kserowałem po 200 egzemplarzy każdej. Ponieważ byłem aktywny, sporo mnie to kosztowało: 80 zł tygodniowo plus sieciówka. Jak na osobę, która nie pracuje, to sporo pieniędzy. Czasami sponsor taniej policzył za ksero (samoprzylepne są droższe – przyp. autora).

S.B. – Jak się robi wlepki? Czy to trudne?

Z. – Przeciwnie, to bardzo proste: 1. – pomysł, trzeba ustalić co ma na niej być, jaki tekst, jakie logo, 2. – dopasowanie elementów, 3. – wykonanie matrycy, 4. – wlepka gotowa – można powielać na folii samoprzylepnej albo odrysowywać ręcznie flamastrem, 5. – nalepić w odpowiednim miejscu. Zrób to sam.

S.B. – Jaka jest strefa twojego działania? I pora?

Z. – Zwykle działam na terenie naszego miasta. Bloki, windy, autobusy, tramwaje to wdzięczne miejsca na tego typu akcje. Kiedy?

Najlepiej nocą. Wtedy jest najspokojniej. Dwa razy zrobiłem akcję w Warszawie, ale nikogo innego nie spotkałem. Może dlatego, że robiłem to w południe, które nie jest porą wlepkarzy.

S.B. – Czy nie miałeś nieprzyjemności z powodu wklejania? Przecież to jest trochę akt wandalizmu...

Z. – Przepraszam, o ile się orientuję drobne ogłoszenia można nalepiać. Więc ja traktowałem wlepki w ten sposób. Czym innym jest rysowanie ostrym narzędziem po szybie – to już dewastacja, ale moje prace można zmyć wodą z mydłem, więc chyba nie były takim problemem dla MPK.



S.B. – A przygody?

Z. – Zawsze znajdowali się jacyś sportowcy, którzy chcieli mnie na policję prowadzić, ale zwykle udało mi się z nimi dogadać. Poza tym wklejałem w drugim wagonie, którego motor-



niczy nie widzi. Mam też opracowany system wklejania, żeby być niezauważalnym.

S.B. – Co lepiej robić: nalepiać czy mazać sprayem po murze?

Z. – Vleпки uważam za pozytywne działanie, bo nikomu nie szkodzi. Gorzej, jak ktoś wymaluje sprayem „RKS” czy coś podobnego. Spray nie jest łatwo usunąć, odnawianie elewacji kosztuje. Niektórzy już się o tym przekonali. Nie podoba mi się to, co robi „grupa O1”, bo ich graffiti są źle wykończone, treść kiepska, chociaż sam pomysł dobry. Ogólnie oceniam ich miernie, bo nawet miejsce jest źle wybrane pod ich produkcje.

S.B. – Jak się widzisz na tle środowiska vlepkowego w Częstochowie?

Z. – Uważam się za „przodownika” vlepkarzy, bo w moich vlepkach jest chyba najwięcej zamysłu, prace nie są przypadkowe ani mechaniczne. Nie powielam też utartych schematów i haseł. Moje prace są bardziej przemyślane. Dbam też o ich stronę estetyczną.

S.B. – Traktujesz swoje akcje jako sztukę, happening czy też przypadkowe wyładowanie ekspresji twórczej?

Z. – Ekspresję twórczą mam w domu, kiedy przygotowuję vlepke. Opracowuję ją od początku do końca i z gotową idę na powielacz, potem na miasto. Natomiast sam akt naklejania to już happening, bo wtedy zachodzą różne interakcje związane z nalepianiem, niekiedy nie od razu z ich odbiorem czy kontemplacją. Wtedy pojawia się adrenalina. Co do sztuki, wolałbym, żeby ludzie zamiast vlepki oglądali obrazy – to jest sztuka, lecz niestety nie mają na to czasu, dlatego trzeba ich prowokować takimi działaniami jak moje. Wszelkimi sposobami trzeba ludzi odciągać od pogoni za pienią-

dzem, telewizji i ślepej konsumpcji. Powinni czasami myśleć abstrakcyjnie.

S.B. – A gdyby twoje prace powieszono w galerii?

Z. – Nie jestem zwolennikiem robienia muzeum vlepki, chociaż muzeum graffiti już ist-

nieje. Może z czasem, kiedy telewizja zdominuje wszelkie potrzeby duchowe społeczeństwa, vlepki zostaną uznane za działalność artystyczną, a ja dostanę legitymację ZPAP-u. Nie chciałbym jednak, żeby tak się stało. To byłby upadek sztuki.

S.B. – Jaki wpływ ma na ciebie pop-art?

Z. – Vlepki są nawiązaniem do pop-artu. Sam fascynowałem się kiedyś Andym Warholem, ponieważ jego prace powstawały na tej samej zasadzie: były powielane, kierowane do mas.

S.B. – Kim jesteś z wykształcenia? Jak patrzono na twoje działania w szkole?

S.B. – Ukończyłem właśnie Liceum Plastyczne na kierunku ceramika. Co dalej – nie wiem. W szkole nie ujawniałem się z moimi nocnymi zajęciami, pracowałem sumiennie przy sztalugach. Raz, podczas wycieczki do Włoch, mój happening potraktowano jako pracę zaliczeniową, ale to już inna historia.

S.B. – Czym się jeszcze zajmujesz?

Z. – Do niedawna pracowałem w „Życiu Młodych”. Zrobiłem dwie wystawy obrazów („Utopia”, Liceum Plastyczne w Częstochowie). Robię też okładki płyt dla grup hip-hopowych, ostatnio dla „CDS”. Rysuję komiksy.* Nie zamierzam robić vlepki do końca życia, bo się rozwijam i trzeba iść ciągle do przodu. Ale jakiś ślad we mnie ten epizod zostawi. Marzy mi się duża akcja plakatowa – totalna.

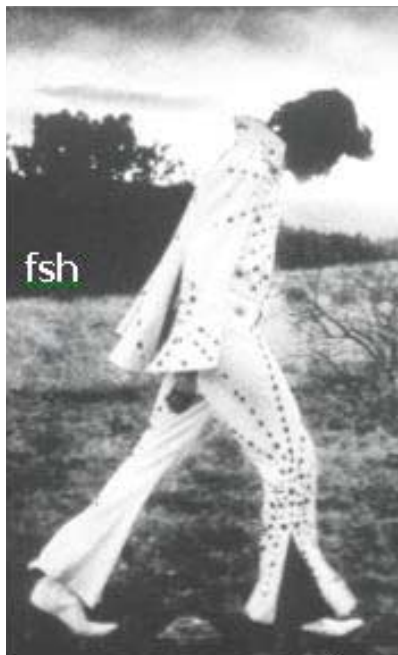
S.B. – Masz ulubioną vlepke? Może któraś cieszyła się szczególną popularnością?

Z. – „Tureckie swetry”.

S.B. – Dziękuję za rozmowę.

* *pisownia oryginalna*

* *Komiksy drukowaliśmy w poprzednim numerze „Alej 3”.*



TAM, GDZIE KRÓL

lookin'
California



feelin'
Minnesota



**„Cynaderki”
Wodewil kulinarny ze sfer gabinetowych**

*minister
dyrektor departamentu nauki
szef gabinetu ministra
miejsce – gabinet*

MINISTER
Podpisaliśmy międzynarodową umowę,
która przeobrazi oblicze naszej nauki... nauki...

DYREKTOR DEPARTAMENTU
Będziemy korzystać z technologii wytwarzania inteligentnego krzemu dla systemów informatycznych trzeciej generacji.

MINISTER
Otóż to, trzecia generacja.

DYREKTOR DEPARTAMENTU
Dzisiejszy tryumf polityki pana ministra przetrzuci nasz kraj w dwudziesty drugi wiek.

MINISTER
Niewątpliwie. A propos! Słyszałem, że wybiera się pan na wieś?

DYREKTOR DEPARTAMENTU
Mój gospodarz urządza świniobicie.

MINISTER
No właśnie... ma pan już wypełniony portfel zamówień na rąbankę?

DYREKTOR DEPARTAMENTU
Owszem, ale dla pana ministra...

MINISTER
Dziękuję, Grzela.

DYREKTOR DEPARTAMENTU
Świnia cudło! Palce lizać!

MINISTER
Co żarła?

DYREKTOR DEPARTAMENTU
Ino kartofle i pokrzywe.

MINISTER
Pocziwa tradycyjna świnia. Polska świnia.

DYREKTOR DEPARTAMENTU
Smalec – miód... jak się glonek chleba omaści, a majeranku nie żałuje i cebuli...

MINISTER
A żeberka, Grzela?! W kapuście! A kminku nie żałować!

DYREKTOR DEPARTAMENTU
Toć to łobraza boska nie dać kapusty! Żałować kminku!

MINISTER
I bedom zioBRA strzylać w zembiskach okrutnie!

DYREKTOR DEPARTAMENTU
A bedom!

MINISTER
A przywieźta jesce jojka, Grzela!

DYREKTOR DEPARTAMENTU
A przywieze, przywieze, a jagze!

MINISTER
Ino łod polskich kur, co lotajom po polu! Słyszane to zecy, zeby kury słonka nie widziały i śtucne jojka niesły?

DYREKTOR DEPARTAMENTU
Wciórności! Abo to jo Miemiec, abo jakiści luter z Francycji? Toć inkszych nie przywieze...!

Wchodzi szef gabinetu ministra, z dokumentami.

SZEF
Oto poprawki, jakie pan minister wniósł do ustawy o ochronie dóbr intelektualnych.

DYREKTOR DEPARTAMENTU
I wyroby przywieze! Jakie wyroby! Same sie w gembie...ślina po nich leci jakby wściktemu psu z pyska!

MINISTER
Niechaj narodowie wždy postronni znają...

DYREKTOR DEPARTAMENTU
Szalteson na ryju i uchach, zeby trzaskoń w zymbach...!

**„Aleje 3” w internecie – www.biblioteka.czesz.pl
Do kupienia w placówkach kulturalnych Częstochowy
oraz w Instytucie Plastyki WSP**

MINISTER
Ino nie w śtucnym flaku! Onegdaj zjodem
w śtucnym i febra mie trzynsa!

DYREKTOR DEPARTAMENTU
I krwawe kiszki!

MINISTER
A bo my to jacy tacy i sroce spod ogona
wylecieli?!

SZEF
Excuze moi, a cynaderki?

MINISTER
Cynaderki? Grzela, zapomnielim o cyna-
drach! Bóg nos pokarze, jak nie bedziem kul-
tywować!

DYREKTOR DEPARTAMENTU
Cynaderki!

*Łapią się za ręce i tańcząc WSZYSCY śpie-
wają:*

Cynaderki, wonne cynaderki, hopsasa,
hopsasa!

Przy was smutek znika i rozterki, hopsasa,
hopsasa!

Zjednoczeni w kółko cynadrami, hopsasa,
hopsasa!

W łuni bedziem Polakami, hopsasa, hop-
sasa!

„Negocjacje” Dramat psychologiczny ze sfer związkowych

*Mister Jackson
lider związkowy
robotnicy
miejsce – świetlica zakładowa*

LIDER
To mister Dżakson z Naszwyl. Kupił naszo
fabryke i chce z nami pogadać.

MISTER JACKSON
Evviva Bolanda!

ROBOTNIK 1
Co mówi?

LIDER
Pozdrawia nas... Jak się panu podoba na-
sza fabryka, mister Dżakson? Okej?

MISTER JACKSON
Sure.

ROBOTNIK 2
Co znaczy „siur”?

ROBOTNIK 3
To samo, co u nas. Siur to kutas.

LIDER
Nie bójcie się, wynegocjujemy pakiet so-
cjalny.

ROBOTNIK 4
Ty, spytaj go, czy będzie zwalniał?

LIDER
Mister Dżakson, czy... jak to będzie, chłó-
paki... czy ju... zwalniać... ałt ałer torkers?

MISTER JACKSON
Lokout? Sure.

ROBOTNIK 5
Kurwa, nie bedziem negocjować, on nas
wyzywa.

LIDER
Spokojnie, chłopaki, siur znaczy: „tak”.

ROBOTNIK 6
Pierdolisz! Tak znaczy „jes”.

ROBOTNIK 7
Tak znaczy u nich „okej”.

MISTER JACKSON
Evviva Bolanda!

LIDER
Okej, mister Dżakson?

MISTER JACKSON
Sure!

LIDER
No to tak... kurwa, żeby się nie pomylić...
najn ałt ałer torkers, kapujesz pan? Many za
nadgodziny, nocki, pranie, bilety miesięczne,
mineralke, zmianowe, postojowe, premia kwar-
talna, trzynastka... Co tam jeszcze, chłopaki?

ROBOTNIK 8
Many za zupe regeneracyjno.

LIDER

Many za zupe. Pasuje, mister Dżakson? Będzie okej?

MISTER JACKSON

Okej. Sure. I'm goin' to grow bananas here!

„Śmierć referenta” Tragedia ze sfer restrukturyzowanych

referent

kura

miejsce – kurnik

REFERENT

Przez długie lata kierowałem działem, znakomicie organizowałem pracę specjalistów, inspektorów i referentów...

KURA

Ko, ko, ko.

REFERENT

...potem, nawet nie wiem kiedy, nowoprzyjęci referenci zawiązali spisek, w wyniku którego zarząd oskarżył mnie o brak kompetencji... zaczęła się powolna śmierć, degradowano mnie do stopnia specjalisty, starszego inspektora, młodszego inspektora, a dziś... dziś zdegradowano mnie do stopnia referenta, abym przywdział szyderczą szatę moich brutusów... powiedz, czy szlachetniejszy widny duch w znoszeniu pocisków oraz strzał gniewnego losu, czy w pochwyceniu za broń przeciw morzu przykrości, by im kres położył opór – umrzeć, spać i nic więcej, i powiedzieć, że sen jest kresem serdecznego bólu i tych tysięcznych przyrodzonych wstrząsów, których dzie-dzicem ciało?

KURA

Ko, ko, ko?

Referent rzuca się z grzędą.

KURA

Ko, ko, ko!

Krzysztof Piwowarski

MALARZ ARTYSTA GRAFIK



TAŃCZĄCY NA STRUNIE

– Panie Herkulesie, wezwałem pana, ponieważ sytuacja filharmonii wydaje się być beznadziejna. Zerwane koncerty, niesnaski w zespole, odwołane trasy koncertowe, pusta widownia, kiepska prasa i co najważniejsze...

– Co takiego? – Herkules zapalił fajkę.

– Cofnięcie dotacji finansowej na działalność orkiestry. Wie pan co to oznacza?

– Co takiego? – detektyw zaciągnął się.

– Całkowite bankructwo i rozwiązanie zespołu! Wynajem lokalu pod hipermarket albo sklep z butami i tanią odzieżą! To katastrofa! – dyrektor bezradnie zamachał rękami.

Jego wykrzywiona grymasem twarz zawiąsała w oparach przyjemnego, fajkowego dymu.

– Takie rzeczy... To może trzeba się wziąć do roboty? Poćwiczyć, zmienić repertuar, zaprosić znanych solistów?

– Nie. Nie o to chodzi. Do niedawna odnotowaliśmy same sukcesy. Zjeździliśmy cały świat, byliśmy noszeni na rękach. Do czasu...

– Do czasu?

– ...aż zaczęły pękać struny w instrumentach szarpanych. W skrzypcach i wiolonczelach po kilkunastu minutach grania zrywały się jak... jak...

– Na próbach nie zrywały się?

– W tym sęk, że nie.

– Podejrzewa pan sabotaż?

– Nie wykluczam, bo trudno mi to wytłumaczyć irracjonalnie – kłątwą lub zbiorowym, powtarzalnym pechem. Dlatego wezwałem pana, żeby rozwiązał pan tę zagadkę w imię starej przyjaźni, oczywiście. Jeżeli się panu uda, dostanie pan, panie Herkulesie, dożywotni, bezpłatny karnet na wszystkie nasze koncerty.

– Czy na gościnne występy innych orkiestr także?

– Hmm, pomyślimy...

– Bo lubię opery. Lekarz zalecił mi oglądać przed snem. To mnie uspakaja.

– Zabierzmy się do pracy.

– Proszę przewietrzyć pokój.

Detektyw muszkował po budynku. Przyglądał się próbie otyłych perkusistów walących w wielkie kotły „Pieśni Nibelungów”. Pianista stroił fortepian i podrywał sopranistkę. Skrzypkowie i wiolonczeliści w grupie ćwiczyli mszę Mozarta. Struny nie pękały, ale czuć było ponure napięcie wśród muzyków, tych najbardziej zagrożonych wpadką. Nie dziwił się. Bliską perspektywą dla nich było granie z kapeluszem w przejściach podziemnych. Dla ludzi pracujących we frakach i muszkach to cięż-

kie przeżycie. Sprawa wydawała się prosta, lecz delikatna. Wszelkie próby wyjaśniania afery przez dyrektora wzbudziły w grupie wzajemną niechęć, zawiść i podejrzliwość. Skrzypkowie niechętnie zblizali się do trębaczy, wilkiem patrzyli na resztę muzyków. Bardzo zła atmosfera udzielała się wszystkim.

Poirot myślał o złośliwym pasożycie podcinającym przed koncertem struny. Tylko jak w tak dużej grupie go wyśledzić? Oprócz muzyków byli tu sprzątacze, scenografowie, rekwizytorzy, oświetleniowcy i cała plejada zawodów pokrewnych. Kto z nich? Jaki motyw? Jak bardzo przebiegły był złoczyńca?

W dziale kadr poprosił o wykaz nowych pracowników zatrudnionych w ciągu ostatniego pół roku. Większość pracowała na umowę o dzieło. Mogli równocześnie pracować w kilku innych miejscach. Także konkurencyjnych. Pieniądze, które przepadły filharmonii z pewnością trafią do innej instytucji. Może do teatru... Czy teatr nie planuje nadzwyczajnych premier? Musi to sprawdzić. Wieczór spędził na przeglądaniu programów miejskich instytucji kulturalnych.

Trzy dni później, kiedy przyszedł do monumentalnego gmachu filharmonii, panowało tam dziwne poruszenie. Przed drzwiami dyrektora kłębił się podekscytowany tłumek pracowników. Rozczochrany, anorektyczny dyrygent wymachiwał batutą, a wszyscy krzyczeli:



„Mamy go!”. W gabinecie dyrektor wraz z kierownikiem artystycznym przesłuchiwali brodatego mężczyznę w pomarańczowych ogrodniczkach w wieku około trzydziestu lat. Na stole leżał nóż introligatorski.

– Dlaczego to robieś?

– To pomówienie. Chcę rozmawiać z adwokatem.

– Panie Herkulesie, sam wpadł. Przed koncertem pianista zauważył, jak zbliża się do różnych instrumentów i coś przy nich kombinuje. Mamy narzędzie zbrodni – dyrektor wskazał solidny nóż.

– Ustawiałem je według pewnej koncepcji. Jestem plastykiem i aranżuję wnętrza. Wiolonczele nie pasowały do feng shui sali koncertowej, więc je przesunąłem trochę dalej.

– A ten nóż, to niby co?!

– Czasami przycinam dekoracje. Rano występuje balet dziecięcy.

– Przyznaj się! Galeria sztuki ci zapłaciła, żebyś nas kompromitował. Oni teraz robią wystawę obrazów Salvadore Dali, na którą nigdy nie byłoby ich stać! Za nasze pieniądze! Za nasz kwartalny budżet! Chcieli nas wygryźć z miasta. Masz szczęście, że cię pracownicy nie zlinczowali.

– To nieporozumienie! Owszem, pracuję też w Galerii, ale to tylko zbieżność faktów. Elektryk też tam dorabia i wcale tego nie ukrywa. Z jednej marnej pensji, to ja nie wyżyję.

– Przepraszam, że się wtrączę – zagadnął Poirot. – Co robił pianista w pustej sali?

– Ma alibi. Miłosna schadzka z sopranistką. Potwierdziła. Robili to w futerałach na wiolonczelę.

– To dziwne. Według mnie oni też są podejrzani.

– A motyw?

– Wskazali na plastyka, który ich nakrył na wstydlivych czynnościach. Zemsta. Czy struny już popękały?

– Jeszcze nie...

– Proszę przewietrzyć pokój i wypuścić plastyka. To zły trop. Zobaczmy się na koncercie – powiedział Poirot i wyszedł.

Koncert należał do udanych. Struny nie pękały, publiczność klaskała, krytycy odzyskiwali zaufanie do instrumentalistów. Szczęśliwi artyści bisowali trzykrotnie dla dwóch rzędów melomanów. Poirot poprosił dyrektora na stronę.

– Chciałbym panu coś pokazać.

– Co?

– Coś w moim mniemaniu istotnego. Przejdźmy do magazynów.

Po otwarciu drzwi do nozdrzy Herkulesa wkradł się nieprzyjemny, zatęchły zapach. Kichnął.

– To alergia na grzyby – powiedział.

Po stromych schodkach zeszli do podziemi. Panował tu półmrok. Detektyw odsunął ja-

kiś mebel i pokazał dyrektorowi ściany. Rozpulchnione od wilgoci odpadały całymi płacami odkrywając ceglany mur.

– Oto wyjaśnienie. To wilgoć i grzyb niszczą instrumenty. Najlepsze marki nie wytrzymają w takich warunkach. Wstyd, że pan nie zainteresował się stanem budynku. Struny tracą elastyczność i odporność na szarpanie.

– Nie wiem, co mam powiedzieć... – dyrektor wziął do ręki spróchniałą altówkę.

Na półce leżały stosy zapleśniałych partytur. Po podłodze przebiegł szczur.

– Niech pan przeprowadzi renowację pomieszczenia. Sprawę uważam za wyjaśnioną.

– Oto pański karnet, Poirot. Żegnam.

– Panie Herkulesie, proszę przyjąć resztę zapłaty. Jesteśmy zadowoleni z pana usług. Filharmonia wycofała wszystkie oskarżenia.

– To nie było trudne. W ich bałaganie wszystko jest możliwe. Nawet to, że grzyb działa tylko na koncertach, a na próbach śpi.

– Ha, ha, ale plastyk nie śpi! Uwierzyli w taką bzdurę?

– Może tłumaczenie jest nie do końca logiczne, ale dyrektor Trąbicki był tak zawstydzony swoją niegospodarnością, że za wszelką cenę próbuje zatuszować sprawę, żeby nie zainteresował się nią SANEPID.

– Nasza Galeria ma się znakomicie. W piątek otwieramy wystawę Dalego. Mamy rezerwacje z całego kraju. Na bankiet przyjdą najznamienitsi goście. Będzie Premier. Przewiduję ogromną frekwencję zwiedzających. Mam więc nadzieję zostać na tym stanowisku na następną kadencję.

– Ta gra nie do końca była uczciwa...

– Panie Poirot, ten skromny upominek pozwoli panu zapomnieć o całej historii.

– Mam krótką pamięć. Polecam się.

Szarą ścianę w skromnej kawalerce detektywa ozdobiła niezbyt gustowna „Płonąca żyrafa”. Wieczorem w operze uciął sobie dobrze zastuszoną drzemkę. Lekarz miał rację. Opera działa nasennie lepiej niż jakiegokolwiek tabletki.

S. Burszewski

Nota od redakcji: wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest najzupełniej przypadkowe.





rys. Grzegorz Nita

MALCZEWSKI W CZĘSTOCHOWIE

„Na obraz «Sztuka w zaścianku» patrzę się codziennie od wielu lat, ciągle z nowym zajęciem. Pozostawiając na razie żywe istoty na boku, podziwiam szczerą sielskość, zupełną wiejskość otoczenia. Niepodobna lepiej oddać atmosfery w pobliżu polskiego dworu, w ubocznej części ogrodu z kuchnią czeladnią w głębi, dzieżami i szaflikami, zawieszonymi na płocie. Pomimo doniczek, otaczających klomby, pomimo trawników, równie starannie obsianych jak przed oknami dworu, jest to zapadły kąt ogrodu, prowincya, z której w oburzeniu nie wypędzają indyków, kiedy, jak dzisiaj, przedostaną się ze swego podwórza. A jest dziś wczesny dzień wiosenny i świeżo po deszczu. Na ziemi czerwonej, gliniastej, rozmiękłej, stoją drobne srebrnobiałe kałuże, oko szuka na ścieżce tych wielkich glist, które się w takich dniach zwykły wydostawać z gruntu, barwą podobne do ziemi, tylko odrobiną ospałego ruchu widoczne. Trawa ledwo się dobyła na powierzchnię i ledwo się ośmiela zieleń. Na krzewach klombów żółkną jeszcze miejscami pączki wśród listków rzadkich, drobnych, bladych. Tylko duży oleander i małe kwiaty, przeniesione w doniczkach z oranżeryi, mają liść srebrnozielony lub barwny. Po niebie, którego skrawek widać, tłucze się trochę dymu z komina kuchni czeladniej i nisko chodzą zaróżowione obłoki, wspomnienie ulewy.

Obraz nie daje całej miary tego, czem bywa Malczewski jako pejzażysta. Ale jest bardzo znamienym, z jednej strony dla oceny jego najgłębszych zamiłowań, z drugiej dla charakterystyki jego fantazyi w epoce, kiedy około 1895 roku zaczęły się na jego płótnach pojawiać fauny. Wiadomo, że większość znakomych pejzażyistów XIX stulecia pochodzi z miast. I Malczewski, syn, wnuk i prawnuk rolników, urodził się w Radomiu, ale jest na wskroś wieśniakiem i to nie z pałacu, nie z chaty, nie z zaścianka, ale wieśniakiem spod gontów szlacheckiego dworu.

Nie tu miejsce wyliczać te typy i postacie, które kolejno pociągały specjalnie Jacka Malczewskiego i które, chcąc się wypowiedzieć, niejako za swoich dragomanów obierał. Wystarczy zaznaczyć, że przedostatnim z nich, a dziś jeszcze przez opiekuńczego anioła niezupełnie zdetrionizowanym, był faun. Na na-

szym obrazie, noszącym datę 1896, ale o ile pamiętam, zaczęty w roku poprzednim, spotykamy dopiero faunika z małemi naroślami na czole, zapowiadającymi rogi. I faunik ten jest artystą. Dostał się nie wiedzieć jak, na polskie podwórze, przyszedł razem z wiosną. Na starożytnej wielorakiej puszczalce gra temu światu, który nie zna sztuki, zwłaszcza płynącej «z Parnasu wyniosłych szczytów». Słucha go z pewnem zdumieniem – ale bez zachwytu – dziewczynka, która pasie indyki, czy też za nimi tylko biernie chodzi, biedne jasnookie,



Jacek Malczewski. „Z nad brzegów Wisły”

jasnowłose chłopskie dziecko z wydętym brzuszkiem. Faunik pilnie gra, a dziewczynka przeciera sobie ręką oko, obojętna i senna. Pośród indyków natomiast powstał niepokój. Malczewski jest – jak się okazuje – pierwszorzędnym obserwatorem i malarzem zwierząt. Indyki nadstuchują, wyciągają szyje, przyspie-

szają kroku. Stary indor ustroił się w najwspanialsze korale, przystanął tuż przy grajku, podniósł do góry głowę, i sądzić będzie. Małżonki jego, jakkolwiek pokorne i oczekujące wyroku, są ciekawe, ogromnie ciekawe i przypatrują się całą swą indyczą duszą niezwykłemu zjawisku.

„Twórczość Malczewskiego wciela całą naszą boleśnie wytężoną świadomość narodową; daje wyraz najistotniejszej treści współczesnej duszy polskiej; językiem własnym, od nikogo nie zapożyczonym, wieści jej mękę całą i melancholię, jej wszystkie ukochania, nadzieje,



*Jacek Malczewski
„Autoportret
z faunami” 1906
część środkowa
tryptyku olej,
tektura, 40,5 x
32,5 cm,
Ze zbiorów
Ukraińskiego
Muzeum
Narodowego we
Lwowie*

Ze stanowiska wewnętrznej biografii malarza budzi niniejszy obraz i ten interes, że chronologicznie jest może pierwszym ironicznym jego dziełem. Ale jaka to wykwinna, dyskretna ironia!”

K.M. Górski ¹

sny i tęsknoty. Każdy obraz jego jest poematem, a raczej fragmentem jednego wielkiego poematu, który w nim rozwija się z latami logicznie i konsekwentnie i tworzy jedną wielką całość organiczną. Poemat ten za treść główną ma: Sztukę i Ojczyznę oraz osobisty stosunek do nich artysty-Polaka i człowieka współcze-

snego. Równoległe zupełnie z rozwojem jego poetyckiej treści idzie u Malczewskiego rozwój jego formy malarskiej; talent ten, jeden z najsilniejszych i najoryginalniejszych w sztuce dzisiejszej, przedstawia zadziwiający fenomen niezmożonej żywotności. Stawiając pierwsze kroki w szkole krakowskiej pod kierunkiem Matejki, nie uległ on, na kształt wielu rówieśni-

lesny okres szamotania się z zagadnieniami trapiącymi jego ducha oraz z formą malarską tych zagadnień wypowiedzenia – zwolna przeobraża się Malczewski w tego, w treści swej i formie głęboko oryginalnego, s y m b o l i s t ę, jakim go widzimy w chwili obecnej. Allegoryczna w znacznej mierze jego symbolika, wyrażająca raz zawite, to znów pro-

Jacek Malczewski
„Grosz czynszowy”
część tryptyku



ków, jednostronnemu wpływowi genialnej tej indywidualności, lecz od razu poszedł drogą własną, niestrudzenie odtąd naprzód podążając i nie zadowolając się nigdy raz osiągniętym stopniem doskonałości. Rozpocząwszy jako malarz „historyczno-rodzajowy”, martyrologa kaźni sybirskich, których cały rozpaczliwie bohaterski tragizm z przedziwną intuicją odtworzyć umiał w szeregu obrazów mistrzowskich już nieraz, jako rysunek i psychiczna głębia wyrazu, i przeszedłszy następnie przez bo-

ste kompleksy uczuć i myśli, niekiedy nazbyt literacka, a będąca par excellence symboliką u c z u c i o w ą, wzbija się często do wyżyn ogólnoludzkich, ale zawsze nosi na sobie specyficzne zabarwienie n a r o d o w e, stąd też dziwnie bliska duszy i sercu polskiemu, dla cudzoziemców trudniej jest dostępną. Ten wysoki idealizm treści, z tego samego ducha będący, co poezja naszej wielkiej trójcy romantycznej, a najbliżej ze Słowackim spokrewniony, idzie w parze z przedziwnym realizmem formy.

Plastyczny wyraz symboliki Malczewskiego, wykazując w kompozycji wielką różnorodność i coraz większą śmiałość w rysunku – przywodzi na pamięć wielkich rysowników włoskiego Odrodzenia. Rysunek jego, niesłychanie prosty i jasny i pewny, jest już prawie rzeźbieniem pędzlem. Jako rysownik prawie od pierwszej chwili skończony, rozwija się natomiast Malczewski – kolorysta dopiero powoli, od pierwszej epoki «rudych sosów» począwszy, poprzez okres pewnej przesady kolorystycznej, aż do tej zupełnej harmonii, jaką wykazują niektóre jego dzieła późniejsze. Jest on jednak pod tym względem zawsze niejednostajny i zdaje się, jak gdyby kolorem niekiedy świadomie pogardzał. Wizjoner ten, z bezwzględną szczerością poddający się swojej wizji, jest jak gdyby opętany formą ciała ludzkiego i wyrazem ludzkiej twarzy; pejzaż istnieje u niego przeważnie tylko dla człowieka. A jednak jest także Malczewski jednym z największych pejzażystów polskich i jednym w ogóle z tych rzadkich artystów, którzy przyrodę traktować umieją subiektywnie. Znaczna część jego dzieł z ostatniej epoki należy do zakresu p o r t r e t u. Jest to jednak «portret» szczególniejszego rodzaju, w którym postać portretowanego, zawsze na wskroś indywidualnie pojęta, jawi się nam, przeważnie na tle stylizowanego pejzażu, w towarzystwie figury alegorycznej, symbolizującej treść wewnętrzną danego człowieka.”

Adam Łada-Cybulski²

Pisał sto lat temu K.M. Górski, rozpoczynając artykuł o Malczewskim: „O pojedynczych dziełach sztuki powinni przede wszystkim pisać ci, którzy się na nie bezustannie patrzeć mogą, a więc ich właściciele albo urzędnicy muzealni. Oni to jedynie mają wszelkie dane, aby się zżyć z tworem artystycznej ręki i duszy i łatwiej od innych uchwycą tę szczęśliwą chwilę, w której się całe dzieło niejako odsłania, do głębi swej objawia”. Że właściciele – może i racja, a urzędnicy muzealni – hm... Niektórzy z nich są chyba za bardzo urzędnikami, skoro trzeba było dopiero zdecydowanej interwencji prezydenta Wrony, aby obrazy z cennej kolekcji malarstwa, zbieranej z wielkim zapałem w ciągu paru dziesiątków lat w częstochowskim Muzeum przez dr Aleksandra Jaśkiewicza, mogły być po długiej przerwie znowu udostępnione częstochowianom i gościom na

stałej – miejmy nadzieję – ekspozycji w Ratuszu. W tej kolekcji są też trzy znakomite obrazy Malczewskiego. Częstochowianie mają więc szansę takiego kontaktu z owymi dziełami, o jakim pisał Górski.

Obrazy Malczewskiego były wystawiane w Salonie Sztuki (Aleja NMP35), który działał w pierwszych latach powojennych. Zaś w roku 1964 w muzealnym pawilonie wystawowym w Parku Staszica, w ramach współpracy naszego Muzeum z Muzeum Narodowym w Krakowie, zorganizowano dużą ekspozycję, która w założeniu na wybranych przykładach miała przedstawić całą twórczość Malczewskiego. Było tam kilkadziesiąt obrazów olejnych oraz akwarel i rysunków. Sprzed roku 1890 pochodziły: „Portret narzeczonej” i kilka szkiców sybirskich. Większy nacisk położono na okres symbolizmu. Portrety Stanisława Witkiewicza, Feliksa Jasińskiego, Madonna z Dzieciątkiem, portret własny na tle krajobrazu - to niektóre z dzieł przedstawionych wówczas w Częstochowie.

Historia zatacza koło. Niedawno we wzorowo wyremontowanym Pawilonie Wystaw Czasowych – który z powodzeniem służy prezentowaniu ważnych ekspozycji – mogliśmy oglądać prace Malczewskiego ze zbiorów Lwowskiej Galerii Sztuki. Pod honorowym patronatem Prezydenta Miasta Częstochowy w to prestiżowe przedsięwzięcie zaangażowały się znane instytucje i firmy, że wspomnę tylko „Gazetę Wyborczą” i Katolickie Radio „Fiat”. Media poświęciły temu ważnemu wydarzeniu sporo miejsca, przedstawiając ludzi zaangażowanych w jego przygotowanie: Annę Dylewską – komisarza wystawy z ramienia Muzeum Częstochowskiego; Adama Dobosza – częstochowianina, który przyczynił się do zorganizowania całego przedsięwzięcia w Polsce. Dzięki niemu na polskim szlaku wystawy mogła się znaleźć Częstochowa.

Władysław Ratusiński

1 „Sztuka polska. Malarstwo” – pod kierownictwem Feliksa Jasińskiego i Adama Łady-Cybulskiego, nakładem Księgarni H.Altenberga we Lwowie, Warszawa – Skład w Księgarni E. Wende i Spółka. 1903/1904, str. 22

2 Tamże, str. 4

fot. Jacek Kamiński, również I i IV strona okładki

